

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy. — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. Kraków, 8 czerwca 1912. Nr. 23.

Zamach poety-szaleńca.



Nr. 23 „Nowości Illustrowanych" zawiera: Zgon polskiego uczonego. — Pogrzeb króla duńskiego. — Królewska wizyta w Wiedniu. — Echa rewolucyi budapesztańskiej. — 250-lecie polskiej placówki naukowej. — Płonący wulkan naftowy. Znowu katastrofa kolejowa. — Nowy nuncyusz papieski w Wiedniu. — Pogrzeb ofiar rewolucyi w Budapeszcie. — Wielki pożar Damaszku. — Najgroźniejsza broń sufrażystek. — Zasłużony weteran sceny krakowskiej. — Nowa gałąź przemysłu domowego.

OD WYDAWNICTWA.

Po ciężkiej stracie, jaką poniosło nasze wydawnictwo przez śmierć założyciela, wydawcy i naczelnego redaktora „Nowości Illustrowanych“, ś. p. Stanisława Rawicz Lipińskiego, musimy przedewszystkiem złożyć serdeczne podziękowanie licznym naszym Przyjaciołom i Zwolennikom, którzy w tej ciężkiej chwili okazali nam gorące współczucie, nie szczędząc przytem wyrazów uznania dla pracy Nieboszczyka, a dla nas — zachęty do dalszej działalności w wytkniętym przez Niego kierunku.

Te słowa pociechy muszą też stać się punktem wytycznym w dalszym rozwoju naszego wydawnictwa, które będziemy prowadzić z niesłabnącą energią, w tem przeświadczeniu, że „Nowości Illustrowane“ stały się już potrzebą ogółu, że są ważną placówką oświatową, społeczną i narodową, na straży której stać będziemy, służąc dobrej sprawie na pożytek społeczeństwa i kraju.

PODZIĘKOWANIE.

Przejęci do głębi wyrazami współczucia, jakie zewsząd otrzymaliśmy z powodu zgonu ś. p. Stanisława Lipińskiego, składamy z głębi serca płynące podziękowanie tym wszystkim, którzy swą życzliwością starali się przynieść ulgę w nieszczęściu, jakie nas dotknęło.

Wdowa z dziećmi i Rodzina.

Zamach poety-szaleńca.

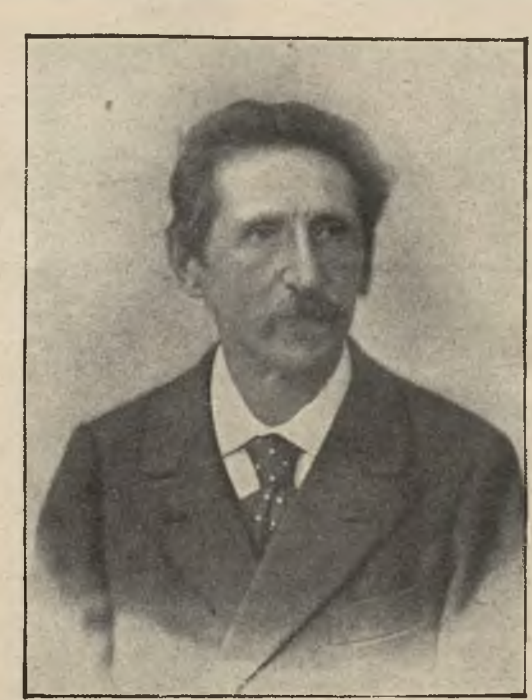
(Do illustracyi tytułowej).

Niestety, do dziś dnia jeszcze żyjemy w czasach, kiedy najstraszniejsza ze zbrodni — nastawanie na życie ludzkie — należy do zjawisk codziennych. W każdem większem mieście kroniki notują wciąż napady, krwawe rozprawy i porachunki, pociągające za sobą śmierć lub kalectwo. Jest to smutne żniwo zbrodni...

Jeszcze większą jednak tragedyą współczesnego życia są krwawe czyny, których źródłem jest nie zbrodnia, lecz degeneracya fizyczna, obłąkanie, choroba... Zbrodnie na tle szału stają się obecnie zjawiskiem coraz częstszem i stanowią smutne *signum temporis* współczesnej denerwującej epoki. Widownią takiego zbrodniczego czynu, spełnionego przez niepoczytalną jednostkę — poetę-szaleńca — był niedawno Lwów.

Młody literat, Jan Huskowski, dał na ulicy kilka strzałów i zranił ciężko dzierżawcę hotelu George'a, Leona Bogosiewicza... Sprawca zamachu przyznał się z całą otwartością, że chciał zamordować Bogosiewicza. Na śledztwie wyszło również na jaw, że Huskowski nosił się z zamiarem zamordowania znanego literata Makuszyńskiego. Jako powód swego czynu podał chęć uwolnienia się od swych „prześladowców“... Nie ulega też wątpliwości, że zbrodni dokonał w przystępie szału, dotknięty manią prześladowczą i manią wielkości...

Literat i poeta z większymi pretensjami, niż talentem, Huskowski ciężko zmagał się z losem, walcząc z obojętnością i... nędzą... Choć utwory jego, drukowane do ostatnich dni w czasopismach lwowskich, zdradzały wielkie zdenerwowanie i pewną anormalność umysłową, koledzy jego kładli to na karb literackiej dekadencyi... Dopiero krwawy zamach ujawnił, iż Huskowski był dotknięty chorobą umysłową, cierpiąc na znaną tak dobrze psychiatrom manię prześladowczą... W przystępie szału dokonał też zbrodniczego zamachu, który położył kres jego karyerze literackiej i jego męce... daremnego zmagania się z własnemi, nieziszczalnemi aspiracyami...



Zgon polskiego uczonego: Ś. p. Edward Strassburger, prof. uniwersytetu w Bonn.



Pogrzeb króla duńskiego: Członkowie domów panujących w orszaku pogrzebowym. Od lewej ku prawej stoją: w pierwszym rzędzie król duński Chrystyan X, król szwedzki Gustaw V, król grecki Jerzy I, król norweski Hakon VII; w drugim rzędzie, niemiecki następca tronu i arcyks. austr. Piotr Ferdynand.

Illustracya nasza przedstawia ten smutny epilog karyery literackiej Huskowskiego — zbrodniczy zamach poety-szaleńca we Lwowie...

Pogrzeb króla duńskiego.

Nagła śmierć króla duńskiego, Fryderyka VIII., wywołała w Danii głębokie wrażenie. Król cieszył się bowiem wśród swoich poddanych wielką popularnością, a zmarł właśnie w chwili, kiedy po dłuższej podróży oczekiwano go w ojczyźnie.

Pogrzeb zmarłego króla odbył się bardzo wspaniale, a wzięli w nim udz ał przedstawiciele wszystkich państw europejskich i domów panujących.

W Hamburgu spoczęło ciało króla chwilowo w hotelu „Hamburger Hof". Przed hotelem wartę honorową pełniła kompania Hanzeatyckiego pułku piechoty. Następnie przewieziono ciało na dworzec, a stąd koleją do portu w Travemünde.

Na pokładzie królewskiego jachtu „Danebrog" ustawiono wspaniały katafalk, na którym spoczęła trumna ze zwłokami króla. „Danebrog" zawiózł zwłoki do Kopenhagi.

Stara stolica duńska uroczyście przygotowała się na przyjęcie zwłok królewskich.

Na brzegu, przybycia królewskiego jachtu oczekiwała cała rodzina królewska, wszyscy wyżsi urzędnicy państwa i tłumy ludności. Kiedy jacht zbliżył się do brzegu, powitały go wystrzały armatnie. Następnie rodzina i dygnitarze udali się na pokład okrętu, gdzie po ceremoniach kościelnych wszyscy urzędnicy państwa oddali hołd zmarłemu, defilując przed zwłokami.

Dwunastu wyższych oficerów wzięło następnie trumnę na swe barki i w uroczystym pochodzie poniesiono ją przez ulice miasta do zamku królewskiego, gdzie spoczęła na wspaniałym katafalku w kaplicy. Cała kaplica wybita była białem i czarnem suknem. Trumnę, ustawioną na podwyższeniu, okryto królewskim sztandarem, na niej zaś złożono purpurowy płaszcz królewski i koronę. Przed katafalkiem ustawiono trzy srebrne lwy naturalnej wielkości.

Po złożeniu trumny w kaplicy odprawione zostało nabożeństwo żałobne, poczem przez trzy dni zwłoki wystawione były na widok publiczny.

Trzeciego dnia odbył się właściwy pogrzeb. Po ponownem nabożeństwie w kaplicy zamkowej w Christiansborg, przewieziono ciało w uroczystym pochodzie do tumu w Roeskilde, gdzie w podziemiach spoczywają zwłoki wszystkich królów duńskich.

Za trumną w pochodzie postępowali: nowy król duński, Chrystyan X., król szwedzki Gustaw V., król grecki Jerzy I., król norwegski Haakon VII., jeden z niemieckich książąt w zastępstwie cesarza Wilhelma, arcyksiążę Piotr Ferdynand w zastępstwie cesarza austryackiego, książę koburski Karol Edward, liczni przedstawiciele świata dyplomatycznego i politycznego.

Po uroczystych ceremoniach spoczęły zwłoki zmarłego króla w podziemiach tumu.



Pogrzeb króla duńskiego: Katafalk ze zwłokami króla duńskiego Fryderyka VIII. w kaplicy zamku Christiansborg.

Z okazyi uroczystości pogrzebowych nastąpił fakt, który ma doniosłe znaczenie polityczne. Trzej królowie państw skandynawskich od dziesiątek lat nie spotykali się zupełnie ze sobą, żyjąc w wielkiej niezgodzie. Obecnie na pogrzebie zjechali się razem i w ten sposób zostały położone podwaliny trwalszego między nimi porozumienia. Fakt ten miałby doniosłe znaczenie dla polityki państw skandynawskich.

Wreszcie podnieść trzeba, że proklamowanie nowego króla duńskiego odbyło się bardzo uroczyście. Nastąpiło to zaraz po nadejściu do Kopenhagi wiadomości o śmierci króla Fryderyka VIII.

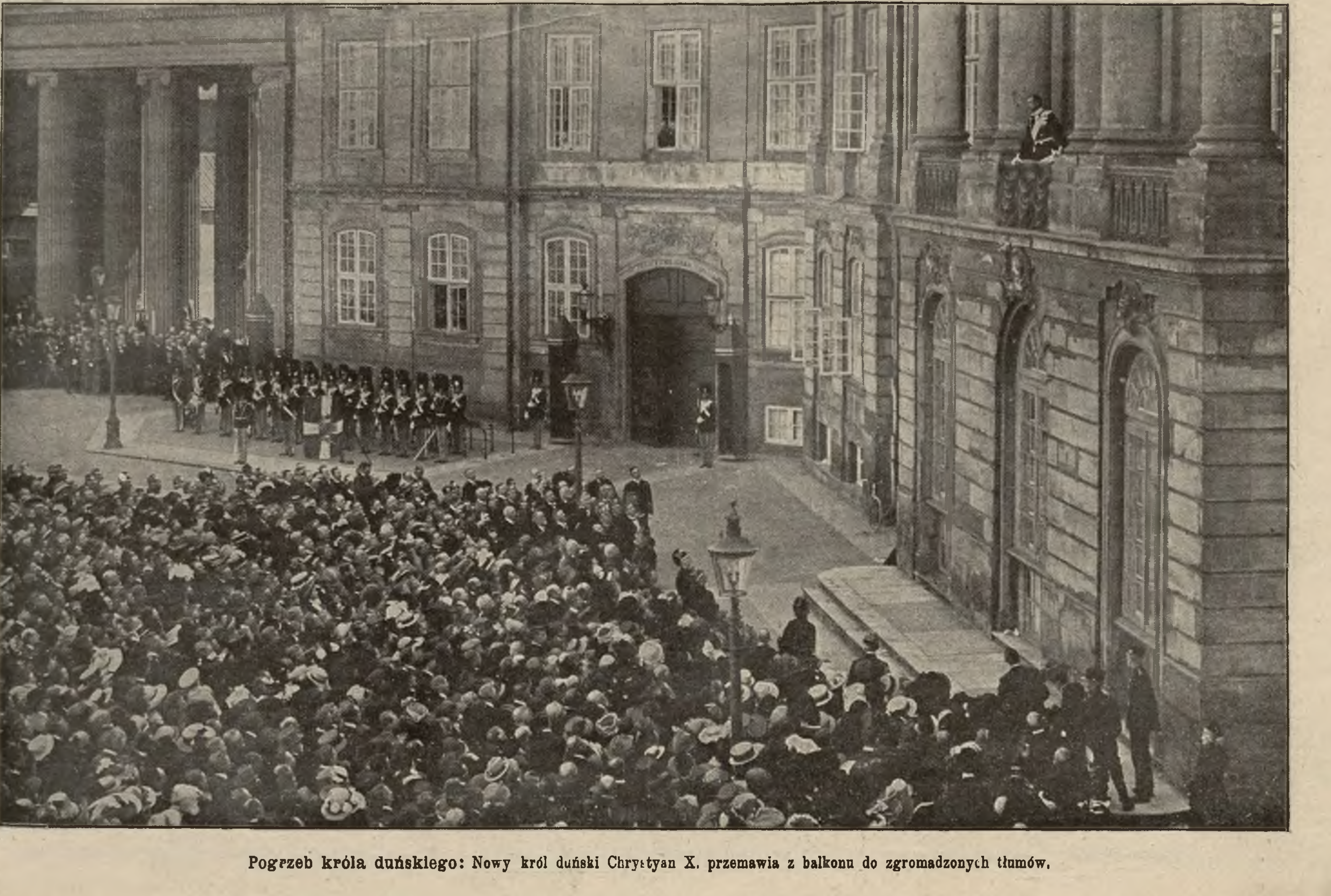
Prezydent ministrów duńskich, Berntsen, ogłosił następcę tronu królem z balkonu zamku Amalienborg w Kopenhadze wobec ogromnych tłumów ludności, które bardzo przychylnie powitały nowego władcę. Chrystyan X. przemówił następnie z balkonu.

Illustracye nasze przedstawiają członków domów panujących w orszaku pogrzebowym, zwłoki króla na katafalku w kaplicy zamkowej i przemówienie nowego króla do tłumów, zgromadzonych na placu zamkowym.

Zgon polskiego uczonego.

Z grona polskich uczonych ubył znowu jeden z wybitniejszych koryfeuszów nauki. Na porażenie serca zmarł nagle sławny botanik, ś. p. Edward Stassburger, profesor uniwersytetu w Bonn.

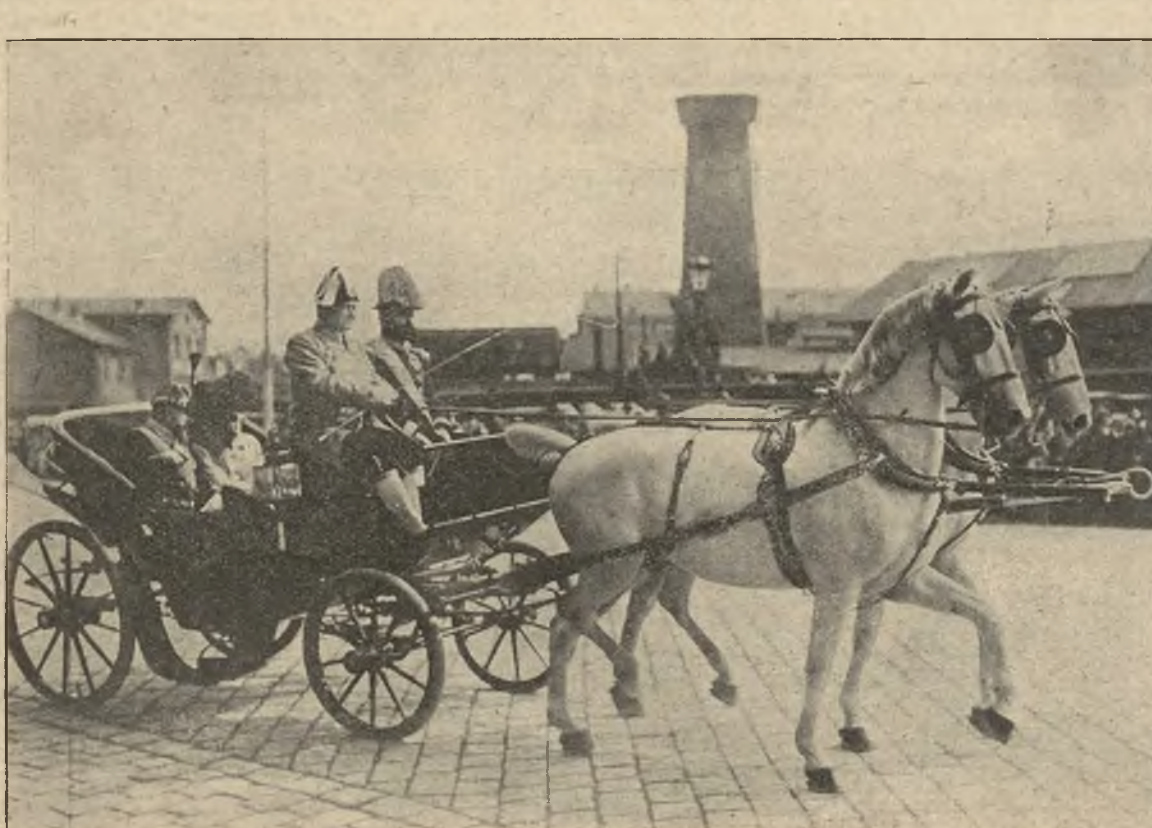
Urodzony w Warszawie w r. 1841 z zasłużonej dla kraju rodziny, zmarły kształcił się od r. 1864 na uniwersytetach w Bonn i Jenie, poświęcając się z zamiłowaniem studyom przyrodniczym. Uzyskawszy doktorat w r. 1868, otrzymał docenturę na uniwersytecie warszawskim, lecz już w następnym roku, po ogłoszeniu znakomitych prac botanicznych, został mianowany nadzwyczajnym profesorem i dyrektorem ogrodu botanicznego w Jenie. Uzyskawszy wkrótce



Pogrzeb króla duńskiego: Nowy król duński Chrystyan X. przemawia z balkonu do zgromadzonych tłumów.

stopień zwyczajnego profesora, ś. p. Strassburger udał się w r. 1873 w naukową podróż do Egiptu i nad morze Czerwone, a po powrocie otrzymał profesurę w Bonn.

S. p. prof. Strassburger ogłosił wielką liczbę prac naukowych, między innemi obszerne dzieło o botanice dla studentów, listy z swych nauk. podróży, prace o przyczynkach histologicznych, o podstawach dziedziczności w państwie organicznem, o budowie roślin i t. d., zdobywszy temi dziełami wielki rozgłos w świecie naukowym.



Królewska wizyta w Wiedniu: Cesarz Franciszek Józef w towarzystwie króla Ferdynanda bułgarskiego udaje się powozem z dworca do Schönbrunnu.



Echa rewolucyi budapeszteńskiej: Katastrofa na kolei miejskiej w Budapeszcie.



Znowu katastrofa kolejowa: Wagon osobowy, rozbity podczas katastrofy przy Pont Marcadet pod Paryżem.

Królewska wizyta w Wiedniu.

Sytuacya polityczna przejawia się na zewnątrz w najrozmaitszych formach, z których można wnosić o ukrytych przed okiem zwykłego śmiertelnika dyplomatycznych kombinacyach międzynarodowych. Jedną z takich form są wzajemne wizyty, jakie oddają sobie monarchowie państw europejskich.

Przed niedawnym czasem bawił w Wiedniu ces. Wilhelm, a odwiedziny te miały niewątpliwie doniosłe znaczenie polityczne w sprawie wojny włosko-tureckiej. Obecnie zawitał do Wiednia jeden z monarchów państw bałkańskich, mianowicie król bułgarski Ferdynand. Przybył on w odwiedziny do cesarza austryackiego z żoną i dwoma synami. Doniosłość polityczną tej wizyty dostatecznie oświetla fakt, iż przybywającego gościa na dworcu powitał cesarz austryacki osobiście.

Uroczystości połączone z pobytem pary królewskiej w Wiedniu trwały kilka dni, a złożyły się



Płonący wulkan naftowy: Palący się od 16 maja szyb kopalni nafty w Moreni na Wołoszczyźnie.

na nie galowe obiady, przedstawienia, wizyty i przyjęcia, a poza tem wszystkiem po cichu prowadzono dyplomatyczne konferencye.

Płonący wulkan naftowy.

Od kilku tygodni zieje ogniem jeden z najobfitszych szybów naftowych w Europie. D. 16 maja z powodu eksplozyi gazów zapalił się szyb naftowy tow. „Concordia" w miejscowości Moreni w Rumunii, gdzie podobnie jak w Borysławiu ciągną się obfite kopalnie nafty. Szyb ten, odkryty w r. 1911, okazał się bardzo obfitym, gdyż daje dziennie około 400 wagonów ropy.

Przypadek wywołał eksplozyę gazów ropnych, które zapaliły zarówono ten szyb, jak i zbiorniki ziemne mieszczące 700 wagonów ropy. O ugaszeniu pożaru nie ma mowy, gdyż szyb po spaleniu się maszyneryi został zupełnie otwarty, a ropa płynie swobodnie wybuchając płomieniem do wysokości 80 m.

Straszne gorąco nie pozwala zupełnie zbliżyć się do płonącego szybu. Właściciele terenu naftowego tracą dziennie około 100.000 kor., które idą z dymem.

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

20)

— Proszę cię, nie żartuj, ani mi w głowie jakieś miłości, — uśmiechnął się z przymusem.

— Mój kochany, nie blaguj, — zaśmiała się, — pewno rankiem, po zabawie, poszedłeś marzyć wśród pól o niej. Drażnił cię dom i to zwykłe, szare życie, po uniesieniach poetycznych. No, przyznaj się!

— A wiesz, Irenko, to podejrzane. Mówisz, jak gdybyś przeszła tę gorączkę. I któż jest twoim wybranym? — śmiał się; — nie doktor, bo on za trzeźwy na twoją poezyę, chyba Maryewski, ten da się wodzić na pasku.

— No, no, Romku, nie wywijaj kominka, — a zwracając się do wchodzącej matki rzekła: — wie mama, Romek zakochany, przyznał mi się.

— Romciu, naprawdę?

— Ależ mamo, żarty stroi Irenka, ani mi się śniło.

— Niechże mama sama posłucha, — zawołała Irena i naśladując głos brata: — wiesz Irenko, spotkałem dziś niewiastę, która o wiele, bardzo wiele, przewyższa Warszawianki, co przetłumaczywszy na prozę znaczy: znalazłem ideał! nieprawdaż mamo? — zaśmiała się.

— Romciu? — patrzała badawczo na syna, — kto ona? z jakiej rodziny... bo ty z samych nudów i braku towarzystwa gotóweś się zadurzyć, Bóg wie w jakiej dziewczynie.

Romanem owładał gniew, chciał rzucić przykre słowa, ale zastanowił się, że tem pogorszy swoją sprawę i wzbudzi tem silniejsze podejrzenia, powiedział tedy ze śmiechem:

— Głodnemu chleb na myśli, a Irence, jak tylko posłyszy, że jakąś dziewczynę chwalę, zaraz zdaje się, że to miłość, romans, ideały i tym podobne głupstwa. Głodny jestem.

— Zaraz będzie obiad, — i w tej samej chwili służąca wniosła wazę.

Przy obiedzie, Roman, naglony pytaniami, opowiadał szczegóły zabawy u Stokłosów, unikając starannie wzmianki o Mani. Ale, jak to bywa u szczerych ludzi: co w sercu to na języku; — powiedział mimowoli, — że prowadząc tańce, miał towarzyszkę nadającą się do tego, gdyż tańczyła bardzo dobrze, była piękna i miła.

— Czy to córka jakiego radcy? — spytała Irena.

Roman, porównując w myśli Manię z Klimcią, zaprzeczył zbyt gorąco, jak na spokojne pytanie:

— O, nie, cóż znowu, — uśmiechnął się z radością, — ona zupełnie inna. To córka człowieka pracy, który sam sobie zawdzięcza stanowisko i majątek.

Oczy Ireny zabłysły i ukrywając uśmiech, — spytała obojętnie:

— Jak on się nazywa?

— Michał Filarek, — odpowiedział bez wahania, gdyż właśnie miał na myśli adres jego domu i wizytę wieczorną, — miał niegdyś sklep, ale teraz wycofał się z interesów.

— Filarek? — powiedziała z bezwiednem lekceważeniem matka, — co za dziwne nazwisko.

— Moja mamo, — stanął w obronie Roman, — lepsze jest to nazwisko uczciwego pracownika, aniżeli próżniaka arystokraty.

— Naturalnie, — skinęła matka głową, — tylko ten zdrobniały wyraz zdziwił mię.

— Ach, moja mamo, Filarek nie Filarek, — zawołała Irena, stając pozornie w obronie brata, — nazwiska człowiek sam nie wybiera, przynosi je ze sobą na świat, i dla mnie nazwisko jest obojętne, Filarek, Filar, czy Słup... Romciu, a jak była ubrana córka tego pana? czy gustownie?

— O, z wielkim szykiem, — zapalał się Roman, — wiesz, miała suknię takiego koloru morskiej zieleni, nie wiem z jakiego materyału, ale w dotknięciu bardzo przyjemny. Miała jakąś szarfę, czy coś takiego, i bukiecik fiołków.

— To ona chyba blondynka? — dorzuciła Irena.

— A ty skąd wiesz?

— Z koloru sukni.

— Romciu, czy ona była dekoltowana? a spódnica jaka, czy modna, wązka? — spytała matka.

— Dekoltowana? tak, trochę, coś koło szyi, a spódnicy nie pamiętam.

— No, to już wszystko dobrze, — zaśmiała się Irena, — wszystko wiem, co chciałam. Twoim ideałem dzisiejszym jest panna Filarkówna, blondynka, córka byłego kupca, ubiera się starannie i do twarzy.

— Zostawiam cię z twoją domyślnością, — uśmiechnął się kwaśno, — muszę się przebrać, — wstał od stołu. — Możeby mi mama dała świeżą koszulę, kołnierzyk i mankiety.

— Możebyś, Romciu, został dzisiaj w tej samej, tak się brudzisz w fabryce.

— Nie mamo, wezmę czystą, mam wizytę wieczorem.

— Nie będziesz na kolacyi w domu?

— Nie, ale przyjdę dość wcześnie.

— O ile cię wypuści pan Filarek, — zaśmiała się Irena.

— Może i zgadłaś, wszystko mi jedno, — przeszedł do swego pokoju.

Romanowi dłużył się niezmiernie czas we fabryce i co chwila spoglądał na zegarek, a im bliżej było szóstej godziny, tem powolniej płynęły minuty, kwadranse wlokły się w nieskończoność. Zdenerwowany, już o pół do szóstej zamknął biurko, uporządkował papiery, obliczył kasę, i w swym małym przedziale poruszał się jak zwierzę dzikie w klatce menażeryi.

A tu, jak gdyby na przekór, zjawiło się dwóch dostawców surowych materyałów i trzeba im było wypłacić należność. Klął ich w duszy, ale musiał uskutecznić wypłatę, wpisać do ksiąg kasowych i obliczyć na nowo kasę.

Już miała bić za dziesięć minut szósta, gdy pan Moryc Fajgel przyszedł mówiąc:

— Pan pryncypał prosi pana kasyera na słówko.

— Ależ, wkrótce szósta! — oburzył się Roman.

— Szósta? — wyjął Moryc swój zegarek, — u mnie za dwanaście minut, a u pana jak?

— Za pięć, — odmruknął gniewnie.

— Pański zegarek źle chodzi, mój, to prawdziwy chronometr, patrz pan, — pokazywał.

— Widzę, widzę, — mówił odwrócony, zamykając kasę.

— No, teraz możemy pójść do pana pryncypała.

Roman, zacisnąwszy zęby, poszedł do biura fabrykanta.

— Ja wezwałem pana, — mówił pryncypał, — ażeby porozumieć się co do stanu kasy. Mamy weksle do płacenia, panie Moryc, czy pisał pan do naszych odbiorców o pieniądze? Co znaczy ta zwłoka?

Zaczęły się narady, obliczania, co zabrało prawie pół godziny czasu i stanęło na tem, że trzeba będzie podjąć z banku pieniądze, a cała konferencya dałaby się była załatwić w kilku słowach, co powiększało rozdrażnienie Romana.

Wyszedł drżący z niecierpliwości i nie czekając na tramwaj, którym zwykle jeździł z Podgórza do miasta, wsiadł w pierwszą napotkaną dorożkę i kazał się wieźć do fryzyera, gdyż z obawy śmiechu Ireny nie ogolił się w domu.

Gdy nareszcie wszedł do mieszkania Filarków, wprowadzono go do salonu pretensyonalnie umeblowanego, z jakimiś wachlarzami, w rogach zawieszonymi, z figurkami banalnemi z porcelany, z gipsu, z bronzu, a na jednej ścianie, w sutych, niesmacznych, złoconych ramach wisiały marne portrety pana Filarka i jakiejś tęgiej, tłustej czerwonej jejmości. W oknach było kilka doniczek suchotniczych roślin, a w całym pokoju czuć było zapach mieszanych perfum. Świeży bukiet, który ze sobą Roman przyniósł, wyglądał na intruza w tym salonie z meblami symetrycznie ustawionymi, gdzie na jednym ze stolików, pod portretami, stały pod kloszem dwa zwiędłe bukieciki, jak widać było z białej wstążeczki, pamiątki ślubu. Na ścianie przeciwległej portretom wisiały tanie oleodruki niemieckie.

W normalnych stosunkach ten salon byłby się wydał Romanowi odstręczająco brzydkim, ale uczucie nakłada cudowne szkła na oczy, i Roman, spoglądając na pianino i na fotele, rozmyślał: tu zapewne ona siada i czyta, tam gra...

Wtem z trzaskiem otworzyły się drzwi i posłyszał znany sobie gromki głos pana Filarka.

— A, pan dobrodziej, — podał rękę do uścisku, — zdrzemnąłem się, — wycierał pięścią zaspane oczy. — Siadaj pan, proszę, niech się pan nie żenuje. A skąd Bóg prowadzi?

— Wracam z biura, — usiadł na krześle, a nie mając innego tematu do rozmowy, powiedział:

— Bardzo ładny ma pan salon.

— Ale też dyablo drogo kosztował, i to panie wyrzucony pieniądz, bo nikt tu nie siedzi, nie śpi, takie darmostoje, — patrzał z ukrytą dumą na meble, — do niczego, a jeszcze pilnuj od moli, kurze ścieraj...

— W każdym razie panny w domu, goście bywają, jest gdzie przyjąć.

— Może pan pozwoli cygaro, — wyjął papierośnicę, — tu są regalitas, — wskazywał na część cygar, — a tu panie „sztinkatory“, śmierdzą, ale ja do nich nawykłem.

— Dziękuję, palę tylko papierosy.

— To głupie palenie, papier kręci w nosie i trochę tej sieczki, fu, fu, i po wszystkiemu, ale taka moda, i ja, jak sproszę gości, kupuję i papierosy.

— Więc pan prowadzi dom otwarty? — zauważył Roman.

— Ee! co tam otwarty, — zaśmiał się, — nie potrzebuję ciągnąć nikogo do moich dziewcząt, zdrowe są, hoże i do tańca i do różańca, i panny nie bez posagu, każdej dam trzydzieści tysięcy koron, a po mojej śmierci reszta.

— A tak, tak, — mówił zmieszany Roman.

— I proszę pana, panny edukowane, jak się patrzy, główki umeblowane jak się zowie, lepiej, niż ten salon.

— Istotnie, córki pana są bardzo intelligentne i miłe.

— Co tam, panie, intelligencya, serce to grunt, a dzieci dobre, choć do rany przyłóż.

— Czy zastałem panie w domu? — spytał zniecierpliwiony Roman.

— Gdzieżby były? są, tylko tak się cackają z ubieraniem, jak zresztą wszystkie baby, pan to zna, bo ma pan, jak słyszałem, matkę i siostrę.

Ta wzmianka o matce i siostrze nieprzyjemnie dotknęła Romana, a chcąc zapobiedz dalszym pytaniom i krytyce, zwrócił rozmowę na inny temat i wskazując na portrety, rzekł:

— Pana poznaję, a obok, kto?

— To moja nieboszczka żona, Panie świeć nad jej duszą! dobra kobieta, porządna, ta umiała trzymać rygor w domu i taka była przywiązana do mnie, że, chociaż Niemka, nauczyła się dla mnie po polsku.

Roman wpatrywał się w portrety, odszukując w tych grubych rysach rodziców jakichś śladów Mani. Odetchnął z ulgą, gdyż ona w jego oczach nic nie miała wspólnego z tymi potretami.

— Wie pan, ten portret nieboszczki, to robiony z fotografii, po jej śmierci, ale Mania, córka moja, to żywy portret nieboszczki z tych czasów, kiedyśmy się pobrali.

— To niemożliwe! nie widzę żadnego podobieństwa.

— Jeśli pan mi nie wierzy, spytaj się pan Urszuli, siostry mojej.

Wtem drzwi się uchyliły i naprzód weszła z miną wielkiej damy, z łaskawym uśmiechem, ciotka, a za nią obydwie panny.

W chwili, gdy Roman witał się z paniami, zawołał gospodarz:

— Urszulko, powiedz, czy Mania nie jest żywym portretem nieboszczki?

— O, tak, ta sama talia, wzrost, tylko nieboszczka była energiczna, pracowita. Nie mówię tego, żeby Mania nie była pracowita, tylko każda na swój sposób.

— A co? nie mówiłem panu? — tryumfował Filarek.

— Wierzę, wierzę, — pospieszył Roman, nie wierząc naturalnie ani ojcu, ani ciotce, i przystąpił do wystrojonej Mani, ofiarując jej bukiet i mówiąc z cicha: — życzę pani, aby cała droga twego życia usłana była kwiatami.

— O, wśród kwiatów są ciernie i znajdę je na mej drodze, — odparła ze smutnym uśmiechem, biorąc kwiaty do ręki.

— Co za śliczne kwiaty! — zawołała młodsza siostra, Stasia, nachylając się nad bukietem, — widzi tatuś?

Ojciec spojrzał pogardliwie i mruknął:

— Wyrzucone pieniądze!... No, bawcie się tutaj, a ja wyjdę na chwilę.

— A to gdzie? — spytała pani Urszula.

— Wiesz, przyjechał Kuba Orzyński, umówiliśmy się na kieliszek wina.

— Nie mogłeś do domu zaprosić? przecież wina u nas nie brak.

— On, widzisz, nie lubi kobiet, to go żenuje, on lubi swobodnie się zabawić. No, bądźcie zdrowi, a z panem się nie żegnam, zobaczymy się jeszcze.

Dziewczęta podbiegły ucałować rękę odchodzącego, a siostra odprawadziła go do przedpokoju. Po tem pożegnaniu, Mania z bukietem w ręku usiadła na fotelu i zamyślona wpatrywała się w kwiaty, zaś Stasia, stojąc przy ciotce, siedzącej na kanapie, mówiła:

— Coś pan stracił na humorze, wczoraj był pan tak rozbawiony?

Zanim Roman zdobył się na odpowiedź, tłómaczyła ciotka:

— Nic dziwnego, po nocy nieprzespanej każdy straci humor.

— A ja nie, — zaśmiała się Stasia, — tańczyłabym każdej nocy, byle było gdzie.

— I wysypiałabyś się cały dzień, a pan pracuje.

— Nie czuję zmęczenia, — rzekł Roman, — i zgadzam się z panną Stanisławą, że chętniebym

każdą noc przepędzał tak, jak wczorajszą u państwa Stokłosów. A pani, panno Maryo?

— Nie wiem, tylko tyle wiem, że po każdej radości następuje smutek.

— O, już ty zaczynasz z tym smutkiem, — westchnęła ciotka. — Powiadam panu, że to szczególna dziewczyna, zawsze wzdycha, tęskni, a chyba tylko ptasiego mleka brakuje jej w domu.

— Nie ze mną trzeba być, lecz we mnie, jak mówi poeta, — westchnęła Mania, — i to, co dla innych jest szczęściem, mnie smuci.

— I po kim ty odziedziczyłaś te swoje smutki, — mówiła ciotka, — ani po ojcu, ani po matce. Dlaczego nie jesteś taka, jak Stasia.

— Każdy ma swój krzyż, a smutek płynie z zaświatów i nie moja wina, że nie mogę być wesoła.

Słowa te nadzwyczajnie wzruszyły Romana. Zapragnął ukoić jej smutek chociażby kosztem swego szczęścia i spokoju. Ona wydała mu się tak czystą i smutną, jak Eloe w Anhellim.

— Co tam ciocia uważa na jej smutki, — mówiła wesoło Stasia, — to przychodzi na nią jak febra, a potem minie, i bawi się i tańczy, jak każda inna.

— Mojem zdaniem, — rzekł Roman, — nie zawsze ten, co się bawi i tańczy, czyni to z ochoty i wesołości, raczej szuka w tem ratunku od smutku i rozpaczy, — patrzał wymownie na Manię, która smutnemi oczyma potakiwała jego słowom.

— Ależ, proszę pana, — śmiała się Stasia, — smutek wtedy dopiero jest prawdziwy, gdy niema co jeść, gdzie mieszkać, w co się ubrać, ale takie smutki urojone, to pochodzą z wyobraźni i z nudów.

Mania zarumieniła się, spojrzała gniewnie na siostrę i odpowiedziała:

— Mówisz, jak ślepy o kolorach.

Z obroną Mani pospieszył i Roman:

— Proszę pani, wszystko jedno, czy ból pochodzi z istotnej choroby, czy z wyobraźni, cierpi się jednakowo.

— No, no, — śmiała się Stasia, — gdyby tak panu palec uciąć, to bolałoby naprawdę bardzo, a niechże pana tak samo boli z wyobraźni.

— Ból duszy może być przykrzejszy, aniżeli fizyczny, — spuściła oczy Mania.

— No, a u Stokłosów bolała cię dusza? byłaś taka rozpromieniona i wesoła.

— To była przemijająca chwila, — spojrzała na Romana.

— Dajcie sobie spokój panny z tymi sporami, — upominała ciotka, — bo to trzeba panu wiedzieć, że one kochają się bardzo, a mają pasyę dokuczania sobie.

— Ja nie dokuczam — zaprotestowała Stasia, — tylko mnie niecierpliwi niepotrzebna melancholia Mani.

— Zagrałabyś co Stasiu na fortepianie, — doradzała ciotka. — Pan lubi muzykę?

— Bardzo lubię.

— Czy pan grywa? — spytała Mania.

— Niestety, nie.

— Chyba w karty, — zaśmiała się Stasia.

— I to nie.

Stasia usiadła do pianina, rozłożyła na pulpicie nuty i zwróciła się do Romana:

— Może pan zapali mi świece?

— Czy ci lampa nie wystarcza? — zauważyła Mania.

— Do rozmowy aż nadto jasno, ale nie do nut.

Roman zapalał świece, a ciotka wysunęła się z pokoju. Stanął niezdecydowany przy pianinie, radby był bowiem usiąść przy Mani, ale się wahał.

— Zagram wam, moi państwo, „Na skrzydłach pieśni". Czy dobrze, panie Czajkowski? — zaśmiała się, — bo wiem, że Mania chętnie unosi się w świat poezyi.

Nie czekając odpowiedzi, uderzyła kilka akordów, a Roman przysunął cicho krzesło bliżej Mani i usiadł.

Gra Stasi nie miała w sobie nic szczególnego, uderzenie było twarde, suche i utwór, zresztą dość banalny, dalekim był od skrzydeł pieśni.

— Jakie wrażenie odniosła pani z wczorajszego wieczoru? — spytał półgłosem Roman.

— Pan już je określił, — szepnęła.

— Ja? kiedy? — zdziwił się.

— Szukałam zapomnienia, — spojrzała mu w oczy.

— Szczerze współczuję z panią, — mówił wzruszonym głosem, — i nie wiem, cobym dał za to, ażeby na ustach pani zjawił się uśmiech, a to alabastrowe czoło zajaśniało pogodą.

— Wierzę w dobre chęci pana, ale ja jestem z tych, którzy przyszli na ten świat z piętnem nieuleczonej tęsknoty i nieziszczonych pragnień.

— Ależ, panno Maryo, to autosuggestya. Każdy człowiek rodzi się z dążeniem do szczęścia i zadowolenia, i każdy może być szczęśliwy, o ile chce tego.

— To śmieszne, przecież każdy chce być szczęśliwym, — uśmiechnęła się, — i ja chcę, ale jest jakaś siła wyższa, która nie pozwala mi na to.

— Siła wyższa, — zaśmiał się, — to pani sama, bo szczęście i nieszczęście jest w nas samych, a nie w otoczeniu i warunkach. Jeśli naprzykład ja, nie mając dostatecznych pieniędzy, i nie mogąc zadowolić swoich pragnień, naprzykład wyjazdu zagranicę, posiadania koni, automobilu, pałacu, służby, zacznę się truć i męczyć, to naturalnie będę się czuł nieszczęśliwym. Ale, skoro sobie powiem: nie mam na te zbytki dziś, ale pracą, wytrwałością mogę zdobyć środki na zaspokojenie tych pragnień, wówczas odpadną wszelkie bezcelowe żale i smutki, a zostanie energia i ochota do pracy i życia, wesołość i pogoda.

Twarz Mani ożywiła się i patrząc jasnemi oczyma na Romana, wyciągnęła rękę, mówiąc tonem szczerości:

— Pan tak ładnie to powiedział, że chciałabym być z panem w przyjaźni, czy dobrze?

Podała mu rękę, którą on podniósł do ust, lecz ona nagłym ruchem cofnęła mu ją, mówiąc z uśmiechem:

— W przyjaźni niema pocałunku, wystarczy uścisk.

— Jak kiedy, — zaśmiał się Roman, — przyjaciele, gdy się spotkają niespodzianie, lub odnajdą się w tłumie obojętnych ludzi, całują się i nikogo to nie dziwi.

— To prawda, ale my dopiero zawieramy umowę.

— Myli się pani, przynajmniej co do mnie. Od pierwszej chwili byłem serdecznym przyjacielem pani, a ta umowa jest tylko formalnością i przysługuje mi prawo ucałowania ręki pani.

— Jeśli pan żąda w imieniu prawa, to co innego, — powiedziała wesoło, — i zamiast podpisu umowy, podaję panu rękę.

Roman może zbyt długo i zbyt gorąco całował rękę Mani, a gdy próbowała ją usunąć, zatrzymał w swej dłoni i szeptał rozpromieniony:

— Ach, gdyby mi wolno było zatrzymać tę rączkę na zawsze... prowadziłbym panią wśród kwiatów i blasków, usuwałbym każdą przeszkodę, ażeby nigdy nic pani nie uraziło i nie zasmuciło.

— Nie, nie, panie Romanie, — wyrwała rękę cała zapłomieniona, — to zawcześnie...

— Na szczęście nigdy nie jest zawcześnie. Życie trwa tak krotko, trzeba korzystać z każdej chwili, z każdego promienia, bo kto wie, czy jutro będzie świeciło to samo słońce, czy będzie nas otaczał ten sam czar życia i rozkoszy.

— Dosyć, panie Romanie, korzysta pan niegodnie z mojej bezbronności...

— Przebacz pani, — wziął jej rękę, której mu nie broniła, — pani mię oczarowała, nie władam sobą, — i jak pszczoła do kwiatu, tak on przylgnął ustami do jej ręki, gdy nagle Stasia urwała grę w pół akordu i głośno się śmiejąc, zawołała drwiąco:

— O, jak daleko pofrunęliście państwo na skrzydłach pieśni! Może dość tego będzie?... lubię słuchać gruchania, ale w dąbrowie, nie w salonie.

Roman szybko się wyprostował i cofnął się tak gwałtownie, że krzesło zaskrzypiało, zaś Mania ukryła pół twarzy w bukiecie, tylko błysk oczu zdradzał gniew na siostrę.

Stasia, patrząc na nich z uśmiechem, spytała z niewinną miną:

— A może wam zagrać „Czar walca", albo może wolicie „Wiosna miłości"? zostawiam panu do wyboru? czy nie jestem uprzejma?

— O, tak, pani bardzo uprzejma, o ile potrafi być uprzejmym złośliwy chochlik.

— Pan pierwszy poznał się na tobie! — zawołała uradowana Mania.

Stasia szybko zbliżyła się do Romana i z miną naiwnego dziecka dygnęła, mówiąc:

— Powiedz pan szczerze, czy jestem podobna do dyabła z rogami?

— Cóż znowu? — śmiał się Roman, — pani jesteś prześliczna i bardzo uprzejma...

— O ile gram na fortepianie? — przerwała mu, — o, z pana bardzo grzeczny młodzieniec!

— Ale naprawdę szczery, a to także coś warte.

— Dla Mani, może, ale ja wolałabym, aby pan zachowywał ściśle formy towarzyskie.

Roman wstał z krzesła, złożył ceremonialny ukłon i pochylony zaczął z udaną powagą:

— Daruje szanowna pani, że zwykły śmiertelnik przemówił do niej językiem poezyi i porównał jej niebiańską istotę z dowcipnym i wesołym chochlikiem. Pani jesteś Junoną, to prawda, ale gdzież gromowładny Jowisz, który poskramia figle bogini?

Obie panny roześmiały się wesoło, a Mania dodała:

— Trzeba ci tego było?

— Nawet bardzo, dowiedziałam się bowiem, że pan, chociaż biegły w tańcu, w mitologii szwankuje, bo skąd nasz poczciwy chochlik przychodzi na Olimp pomiędzy Jowisza a Junonę?

— Zaiste, prawdomowne są twe usta, dziewico, lecz zważ, że w dzisiejszem społeczeństwie wszystko się zdemokratyzowało i pomieszało, idąc za przykładem bogów, z których każdy, czy to fenicki, czy assyryjski, grecki, czy rzymski, wszyscy żyli wspólnie bez swarów i kłótni w Rzymie.

— Dosyć tej lekcyi, wyrosłam z pensyi, — zawołała Stasia, — nie chcę już słuchać.

Mania jednak, pragnąc wyróżnić się od siostry, spytała z niezwykłem zajęciem:

— Czy naprawdę, panie Romanie, w Rzymie były uznawane wszystkie bogi?

— Tak, pani, w Rzymie była swoboda wyznań, nie tak, jak w Krakowie, i nie robiono żadnej między nimi różnicy, czy była to Wenus, czy Astarte.

(Ciąg dalszy nastąpi).



— To niemożliwe — nie widzę żadnego podobieństwa.

250-lecie polskiej placówki naukowej.

Polska nauka i polska kultura obchodziły we Lwowie wielkie święto: 250 lecie uniwersytetu lwowskiego. W roku 1661 król Jan Kazimierz aktem erekcyjnym podniósł istniejące we Lwowie Kollegium O. O. Jezuitów do godności Akademii czyli Uniwersytetu.

Za staraniem Jezuitów, na prośbę magistratu lwowskiego, „aby na ozdobę majestatu Rzeczypospolitej nowa Akademia we Lwowie stanęła“, król Jan Kazimierz podpisał w Krakowie dyplom erekcyjny, w którym znajdują się następujące słowa: „I stanowimy, aby po wieczne czasy istniało Kollegium to pod nazwą Uniwersytetu i Akademii. Chcemy, aby ta Akademia teraz i wieki cieszyła się i używała tych samych i takich samych praw, przywilejów, wolności, prerogatyw, tytułów, oznak, godności, oraz urzędów, którymi cieszą się i jakich używają Akademie i Uniwersytety nasze: krakowski i wileński“.

Te wiekopomne słowa aktu królewskiego z przed 250 lat powołały do życia Wszechnicę lwowską i stały się kamieniem węgielnym tej polskiej placówki naukowej, która przetrwała wszystkie przeciwności i dziś jest jednem z jaśniejszych ognisk polskiego życia narodowego i polskiej kultury...

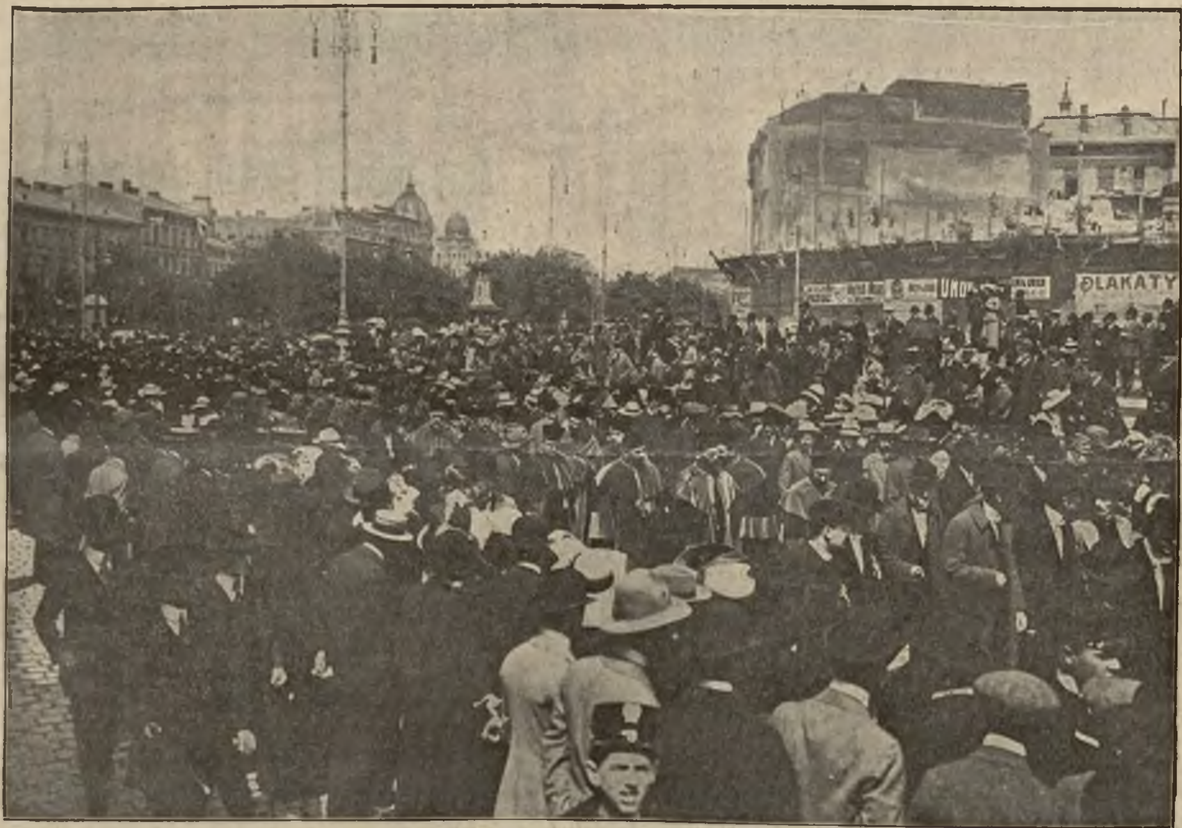
W ciągu tych 250 lat Uniwersytet lwowski przechodził jednak bardzo zmienne koleje i przeżył smutne chwile. Po wcieleniu Lwowa do Austryi, Uniwersytet lwowski zamieniono na Liceum, ale już w r. 1784 Józef II przywrócił wszechnicy dawne prawa. Uniwersytet józefiński niedługo jednak istniał, w r. 1805 zniżony znowu do rzędu liceów. Dopiero w r. 1817 cesarz Franciszek I lwowskie liceum podniósł do godności uniwersytetu... Ale przez długie lata panował tam jeszcze obcy duch i obcy język. Dopiero w latach 1871—1879 przywrócono w uniwersytecie lwowskim pełnię praw językowi polskiemu. Lwowska *Alma Mater* po długim okresie przewrotów i nieszczęść odzyskała swe dawne stanowisko i znaczenie, stała się znów wyrazicielką idei, wytkniętych przez króla Jana Kazimierza w akcie erekcyjnym z r. 1661. To też rocznica tego historycznego faktu, obchodzona przez Uniwersytet lwowski w d. 29 maja r. b., stała się wielkiem świętem narodowem. W obchodzie tym, obok oficyalnych przedstawicieli polskiej nauki, wzięło udział całe społeczeństwo polskie, wszystkie jego warstwy i stany.

Uroczystość rozpoczęła się rano pontyfikalnem nabożeństwem, celebrowanem w katedrze łacińskiej przez ks. metropolitę Bilczewskiego. W kościele zebrali się uczestnicy obchodu, cały senat z berłami uniwersytetu, wielu posłów i dygnitarzy. Po odprawieniu Mszy św. wygłosił ks. arcybiskup Bilczewski od ołtarza podniosłe przemówienie, poczem odśpiewano uroczyste „Te Deum“.

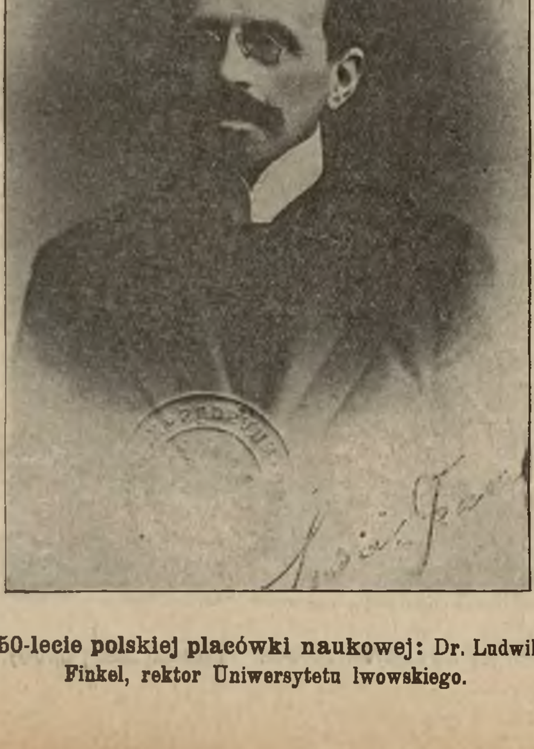
Z katedry ruszył następnie wspaniały pochód do sali Tow. muzycznego, gdzie odbyła się uroczysta akademia. Pochód otwierał oddział „Sokoła“, dalej postępowała straż pożarna, młodzież akademicka,



250-lecie polskiej placówki naukowej: Sokoli w pochodzie jubileuszowym Uniwersytetu lwowskiego (Fot. M. Münz, Lwów)



250-lecie polskiej placówki naukowej: Grupa profesorów w pochodzie jubileuszowym Uniwersytetu lwowskiego.



250-lecie polskiej placówki naukowej: Dr. Ludwik Finkel, rektor Uniwersytetu lwowskiego.



250-lecie polskiej placówki naukowej: Gmach Uniwersytetu lwowskiego. (Fot. M. Münz, Lwów).

wreszcie profesorowie wszystkich fakultetów w togach, oraz senat na czele z rektorem, ubranym w gronostaje. Pochód zamykali posłowie, rada miejska i inni dygnitarze.

na sprawę lwowskiej wszechnicy i jej znaczenie dla narodu polskiego.

Imieniem miasta Lwowa przemawiał prezydent Neumann, jako reprezentant ministra oświaty szef



Nowy nuncyusz papieski w Wiedniu: Nuncyusz Scapinelli powraca do nuncyatury po audyencyi u cesarza.

W sali Tow. muzycznego wszyscy uczestnicy uroczystości zajęli miejsca wedle godności. Nad estradą umieszczono na ścianie tylnej wśród kwiatów biust cesarza Franciszka Józefa oraz portrety króla Jana Kazimierza i ces. Franciszka I.

Rozpoczął chór akademicki odśpiewaniem kantaty L. Różyckiego do słów Kasprowicza. Następnie przemówił rektor dr. Finkel, podnosząc cel uroczystości i rozwijając szeroki historyczny pogląd

sekcyi Cwikliński, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego dr. Szajnocha, w imieniu doktorów lwowskiego Uniwersytetu wiceprezydent Stahl, który ofiarował Almae Matri ufundowany kosztem doktorów złoty medal pamiątkowy, zapowiadając, że do nowego gmachu Uniwersytetu ofiarują doktorowie portret króla Jana Kazimierza. Przemawiali dalej rektor Zoll, rektor czerniowiecki Sagin, węgierski Asboth i Fabinyi, pp. Dobrzycki, Fiedler, Królikowski, Miciński, Kostanecki, Sklepiński i imieniem młodzieży p. Silnicki.

Następnie odczytano stosy adresów i telegramów, nadesłanych z całego świata.

Wreszcie ogłoszono nadanie doktoratów honorowych z okazyi jubileuszu, poczem imieniem Uniwersytetu podziękował obecnym za przybycie prorektor ks. Jaszowski.

O godzinie 2 ej popołudniu odbyło się w hotelu George'a uroczyste śniadanie, wydane na cześć gości przez senat, wieczorem zaś ks. arcybiskup Bilczewski podejmował u siebie przeszło 200 gości galowym obiadem.

Uroczystość zakończyła wielka manifestacya ludności Lwowa na cześć wszechnicy lwowskiej. Liczbę uczestników jej obliczają na blizko 50 tysięcy. Około godziny 7 z pod Sejmu wyruszył na miasto pochód z pochodniami i przy dźwiękach orkiestr. Najpierw manifestowano pod pałacem marszałka krajowego, następnie zaś masy ludu w pochodzie ruszyły pod Uniwersytet. Około godz. 9 stanął pochód pod jego murami. Przemówił tam imieniem mieszczaństwa radny Ohly, po nim zaś prof. uniw. Twardowski. Muzyka odegrała pieśni narodowe. Wkońcu przemówił do tłumów rektor Finkel, dziękując za tę wielką owacyę.

Następnie tłumy z pod Uniwersytetu ruszyły pochodem na Rynek, gdzie przed ratuszem przemawiał prof. Grabski, poczem około godz. 10 wieczorem pochód zaczął się powoli rozwiązywać.

Lwów uczcił godnie pamiątkę 250-letniego istnienia polskiej placówki naukowej w swych murach, a z nim jednoczył się cały naród w tem święcie polskiej nauki i polskiej kultury.

Nowy nuncyusz papieski w Wiedniu.

Akredytowanie nowego członka ciała dyplomatycznego przy dworze panującym odbywa się zawsze z wielkim i uroczystym ceremoniałem. Tem uroczystsze jest to przyjęcie, jeśli chodzi o przedstawiciela Papieża.

W tych dniach właśnie odbyła się taka uroczy-



250-lecie polskiej placówki naukowej: Dawny budynek Kollegium O. O. Jezuitów, w którym niegdyś mieścił się uniwersytet lwowski. (Fot. M. Münz, Lwów).

stość w Wiedniu, gdzie przedstawił się cesarzowi austryackiemu nowy nuncyusz papieski Msgr. Conte Rafaelo Scapinelli. Audyencya, jakiej mu cesarz udzielił, odbyła się w sposób bardzo uroczysty.

Z pałacu cesarskiego udał się po nuncyusza podkomorzy cesarski ks. Wambold von Umstadt. W nuncyaturze przyjął wysłannika cesarza sekretarz nuncyatury Ogno-Serra, poczem na zaproszenie podkomorzego udał się nuncyusz w towarzystwie swego sekretarza i tajnego podkomorzego papieskiego Rossiego do Schönbrunu.

Tutaj w t. zw. pokoju latarnianym oczekiwał nuncyusza mistrz ceremonii hr. Chołoniewski, który wprowadził go do pokoju różanego, gdzie przyjął go w imieniu cesarza wielki ochmistrz dworu hr. Gudenus i adjutant cesarski.

Cesarz przyjął nuncyusza w pokoju zwierciadlanym bardzo łaskawie. Nuncyusz oddał cesarzowi swe pisma uwierzytelniające, poczem prosił o pozwolenie przedstawienia innych członków nuncyatury. Po przedstawieniu obu swych towarzyszów opuścił nuncyusz, serdecznie przez cesarza pożegnany, salę audyencyonalną, a podkomorzy Wambold odwiózł go z powrotem do nuncyatury.

Illustracya nasza przedstawia chwilę, gdy nuncyusz Scapinelli, po audyencyi u cesarza, powraca do nuncyatury.

Pogrzeb ofiar „rewolucyi" w Budapeszcie.

Dwa dni trwała zawierucha rewolucyjna na ulicach Budapesztu. Pod naciskiem wzburzonych mas musiał wreszcie ustąpić zarówno rząd, jak i fabrykanci. Zamknięte fabryki otwarto na nowo, robotnicy wrócili do pracy, a tylko historyi walki o prawo wyborcze na Węgrzech przybyła jeszcze jedna smutna karta, tem smutniejsza, że krwawa.

W walce demonstrantów z policyą i wojskiem padło pięć ofiar po stronie robotników oraz jeden żołnierz policyjny. Pogrzeb tych sześciu poległych odbył się z wielką uroczystością. Robotnicze rzesze całej monarchii uczciły poległych. Wieńce na trumny nadesłali także socyaliści austryaccy. Partye opozycyjne, które popierały ruch rewolucyjny, z początku miały zamiar zademonstrować swe nieprzychylne stanowisko wobec rządu i wziąć gremialnie udział w pogrzebach. Ostatecznie jednak od zamiaru tego odstąpiono, a tylko przywódca opozycyi sejmowej Justh złożył ną trumnach wieniec z napisem „Ofiarom prawa wyborczego".

Trumny złożone zostały w kaplicy przedpogrzebowej. Stamtąd do grobu ponieśli je na swych barkach robotnicy.

Również uroczystym, choć o innym charakterze był pogrzeb zabitego policyanta Józefa Rittera. Na podwórzu koszar policyjnych ustawiony był wspaniały katafalk, na którym złożono zwłoki. Cały korpus policyjny z burmistrzem miasta Barzi Istvanem



Pogrzeb ofiar „rewolucyi" w Budapeszcie: Koledzy niosą zwłoki zabitego podczas zaburzeń robotnika.

na czele przedefilował przed zwłokami, oddając zmarłemu wojskowe honory.

Illustracye nasze przedstawiają pogrzeb zwłok robotników oraz uroczystą paradę przed zwłokami Rittera w koszarach policyjnych.

Wielki pożar Damaszku.

Przed kilkunastu dniami katastrofa pożaru przypomniała światu jedno ze starożytniejszych miast azyatyckich, sławne w historyi i mające za sobą bogate tradycye. Mianowicie spłonęła znaczna część Damaszku.

Miasto to pamiętne jest w historyi różnymi wielkimi wypadkami, które są z niem związane. Za czasów króla Dawida Damaszek był stolicą małego państwa syryjskiego, które utraciło swą samodzielność w r. 800 przed Chrystusem. Po rozmaitych przejściach wojennych w r. 65 dostało się pod panowanie Rzymian, a później zostało wcielone do wschodniego państwa rzymskiego. Od r. 633 stanowi stolicę kalifatu. Podczas wojen krzyżowych upamiętniło się krwawymi bojami, staczanymi pod jego murami. W r. 1401 zostało zdobyte przez Mongołów, zaś w r. 1516 objęli je znowu Turcy. Z nowszych czasów związane są z Damaszkiem krwawe rzezie chrześcian w r. 1860.

Pod względem handlowym Damaszek już w starożytności odgrywał ważną rolę, zwłaszcza słynął z wyrobów szabel i noży. Dzisiaj miasto to prowadzi rozległy handel owocami południowymi, specyalnie zaś rodzynkami i olejkiem różanym.

Pożar, jaki w Damaszku szalał, zniszczył całą dzielnicę handlową, powodując szkodę na blisko 30 milionów franków. Samych towarów spłonęło za 15 z górą milionów.

Illustracya nasza przedstawia zgliszcza spalonego miasta.



Wielki pożar Damaszku: Zgliszcza w śródmieściu.



Pogrzeb ofiar „rewolucyi“ w Budapeszcie: Defilada honorowa korpusu policyi przed zwłokami zabitego policyanta Rittera.

Najgroźniejsza broń sufrażystek.

Kobiety słusznie uważają się za najbardziej pokrzywdzone na świecie istoty. Pomimo, iż w myśl przysłowia „dwie niewieście, jarmark w mieście“, stanowią wymowniejszą (złośliwi twierdzą, że gadatliwszą) połowę ludzkości — w większości państw nie posiadają dotychczas... głosu w parlamentach... Istoty, które najwięcej mówią — bez głosu! To przecież najoczywistszy nonsens i najstraszniejsza zbrodnia! To też „sufrażystki wszystkich krajów“ połączyły się pod jednem hasłem zdobycia praw wyborczych... W pierwszym szeregu kroczą naturalnie sufrażystki angielskie... Biją ministrów i wybijają szyby dla idei równouprawnienia! I dotychczas zdobyły w Anglii prawo głosu... przed sądem i prawo... zasiadania w więzieniach za gwałty. Jest to wprawdzie rezultat walki dość znikomy, ale musi na razie zaspokoić ambicyę pionierek angielskiego feminizmu, przystrojonych w aureolę męczeństwa.

Nie ulega jednak wątpliwości, że o wiele racyonalniej walczą o swe prawa sufrażystki amerykańskie. Użyły do walki swej najgroźniejszej broni — strojów. Który mąż, który ojciec nie ugina się pod ich ciężarem? Sprytne amerykanki uderzyły w najczulszą stronę przebrzydłego rodzaju męskiego i rozpoczęły walkę zapomocą sukien, kapeluszy i parasolek, przyozdobionych w agitacyjne hasła i zamienionych w ten sposób w rewolucyjne sztandary sufrażystek...

Na illustracyi naszej widzimy właśnie grupę amerykańskich sufrażystek, które z uśmiechem niewiniątek urągają swym ciemiężycielom wypisanem na parasolkach i sukniach żądaniem prawa głosowania dla kobiet. Biedni Amerykanie muszą nie tylko to czytać, ale — co najważniejsze — muszą z własnej kieszeni płacić rachunki za te agitacyjne stroje. To może ich rzeczywiście skłonić do kapitulacyi...

Nowa gałąź przemysłu domowego.

Szkoły nasze ludowe starają się dawać dzieciom poza nauką, także pewne praktyczne wykształcenie. W szkołach męskich wprowadzona też została nauka zręczności, gdzie chłopców uczy się wyrabiać różne przedmioty domowego użytku z drzewa, zaś w szkołach żeńskich urządzane bywają kursy szycia, haftu lub też robót koszykarskich.

Obecnie i w szkołach kresowych polskich, zostających pod zarządem T. S. L. rozpoczęto wprowadzać podobne kursa. Pożyteczną nowość zaprowadzono w szkole kresowej w Mor. Ostrawie, mianowicie kurs wyplatania z łyka i wiórów drewnianych.

Z nauki, prowadzonej przez nauczycielkę p. Mrozińską, korzystają dziewczęta klas wyższych i wyrabiają bardzo udatne koszyczki, oraz ładne kapelusze damskie. To też bardzo wiele uczennic nosi kapelusiki własnego wyrobu. Nauka na kursie jest bezpłatna.

Illustracya nasza przedstawia uczennice tej kresowej szkoły przy nauce wyplatania.



Najgroźniejsza broń sufrażystek: Amerykańskie sufrażystki w strojach z agitacyjnymi napisami.



Nowa gałąź przemysłu domowego: Kurs wyplatania koszyków i kapeluszy w polskiej szkole T. S. L. w Morawskiej Ostrawie. (Fot. Fr. Tatka z Witkowic).



Zasłużony weteran sceny krakowskiej: Leon Stępowski.

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

FABRYKANT MUMII.

10) Tłum. z francuskiego.

I szef bezpieczeństwa opowiedział o wizycie doktora Vanesco, który przyszedł zawiadomić go o swym bliskim ślubie właśnie podczas odczywania depeszy. P. Durcoc przykrył depeszę wielką książką, co nic nie pomogło — gdyż doktor, wielki amator książek, zwrócił uwagę na to luksusowe wydanie i prosił o pozwolenie obejrzenia książki. W taki sposób depesza przez parę chwil była odkryta. Ale czyż mógł ją Vanesco przeczytać i zrozumieć? I wreszcie, co go mogła obchodzić depesza?

Sebastyan zastanawiał się przez chwilę.

— Vanesco! — rzekł wreszcie trzęsąc głową. — Już kilkanaście razy słyszałem wymawiane to nazwisko. To jest ten sławny lekarz z lecznicy Colleta — tak?

Ducroc skinął głową.

— Ach! panie szefie! — zawołał Sebastyan — pan popełnił wielką nieostrożność, pozwalając mu spojrzeć na tę depeszę.

— Jakto? Pan przypuszcza, że doktor?...

— Nic nie przypuszczam. Stawiam poprostu hypotezę. Wiem, że wykryto sekret, zawarty w depeszy, o której nikt nie wiedział, prócz pana, mnie i trzeciej osoby, którą muszę uważać za podejrzaną.

— Vanesco podejrzany! — zawołał Durcoc.

— W każdym razie powodzenie mego przedsięwzięcia już teraz w samych początkach jest narażone, — gdyż nie mogę liczyć na inkognito, na którem pokładałem wielkie nadzieje. No — ale w każdym razie nie ustąpię tak łatwo. Przedewszystkiem musimy wiedzieć dokładnie, co mamy myśleć o tym garsonie — co za jeden i czego chce? Proszę zawołać ojca Bazoche, żeby nam dał wyjaśnienia.

Gdy szynkarz wszedł, zamknąwszy za sobą starannie drzwi, p. Durcoc zapytał go cichym głosem:

— Co to za drab, ten pański garson, ojcze Bazoche?

— Prawdę powiedziawszy — sam dobrze nie wiem.

Przyszedł do mnie wczoraj wieczorem, prosząc o zajęcie — no i przyjąłem go.

— Udał się panu, niema co mówić. I nic więcej pan o nim nie wie!

— Nie, słowo daję. Biorę służbę, jaka się na trafia, nie płacę tak dobrze, żeby módz przebierać.

— Naturalnie, naturalnie — ale te wyjaśnienia nam nie wystarczają, tembardziej, że musimy koniecznie wiedzieć, co to za ptaszek!

Sebastyan, który dotąd nie odzywał się — zwrócił głowę i rzekł swym straszliwym alzackim akcentem:

— Trzebaby mieć kogoś pod ręką, kto pilnowałby tego gagatka i poszedł za nim, gdy stąd wyjdzie. Ręczę, że po naszem wyjściu — nie pozostanie ani chwili u was, ojcze Bazoche.

— Ja mam takiego, co go przypilnuje — zawołał Durcoc.

Czy pan nie zauważył nikogo na sali!

— A! znów? — spytał Sebastyan.

— Tak to Bardet ze służby śledczej. Kazałem mu tu przyjść na wszelki wypadek.

— Czy mam mu szepnąć pare słów do ucha? — zapytał szynkarz.

— Ach! nie, nie! — zawołał Sebastyan. — To by zwróciło uwagę, trzeba działać ostrożniej:

I zwracając się do szefa, dodał:

— Proszę napisać parę słów. Pan Bazoche przechodząc przez salę, upuści nieznacznie kartkę, Bardet podniesie ją, i sprawa skończona.

P. Ducroc wyrwał kartkę z notatnika, napisał na niej parę linii i złożywszy w kilkoro, wręczył szynkarzowi, który natychmiast wyszedł do głównej sali.

Upłynęło kilka minut. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i Bardet wpadł do pokoju jak bomba. Twarz jego wyrażała silne wzburzenie — w ręku trzymał kartkę przesłaną przez szynkarza.

— Zapóźno! — krzyknął.

— Jakto, zapóźno? — zapytali jednocześnie prefekt i detektyw.

— Ptaszek pofrunął.

— Już! — rzekł bez wzruszenia Sebastyan. — Jednakże jest sprytniejszy, niż przypuszczałem.

— To pana wina, panie szefie! — zwrócił się Bardet do Ducroca. — Dlaczego pan mi nie dał znać wcześniej. Nie byłby mi się wymknął...

— Ależ, mój chłopcze, nic nie podejrzewałem, gdybym był wiedział!...

— Ba! — przerwał Sebastyan, który zdawał się być innego zdania. Niema czego rozpaczać! Sprawa nie jest przegrana... przeciwnie, nawet wolę, że się tak stało. Teraz łatwiej go będzie śledzić bez jego wiedzy.

— Ależ zawołał Bardet — on nas wyprzedził!

— Nic nie szkodzi, potrafimy go odnaleźć.

I gwizdnąwszy na psa — wszedł szybko do głównej sali szynku.

— Gdzie jest fartuch tego gagatka, panie Bardet?

— Proszę pana! — odparł ajent, zdejmując z krzesła fartuch z szarego płótna, któremu Sebastyan przyjrzał się uważnie.

— Frisquet! — zawołał — Frisquet!

Pies usiadł przed nim, kręcąc ogonem i patrząc pytająco w oczy. Sebastyan pokazał mu fartuch — pies obwąchał go i począł warczeć zajadle.

Detektyw uśmiechnął się.

— Przy pomocy tego fartucha i węchu mego Frisqueta podejmuję się bez trudu odszukać naszego zbiega. Nieprawdaż, Frisquet?

Pies szczeknął wesoło i wzniósłszy się na tylne łapy, oparł przednie na ramionach swego pana.

— Oto, co pan zrobi, panie Bardet: wyjdzie pan stąd z Frisquetem i będzie pan za nim szedł jak ślepy za swym przewodnikiem. Jeżeli w przeciągu godziny nie odszuka pan tego garsona, to nie jestem Jamot.

Ajent, zakłopotany tem dziwnem poleceniem, nie wiedząc, czy ma je brać na seryo, spojrzał pytająco na szefa bezpieczeństwa.

— Niech pan robi wszystko, co wskaże pan Jamot — rzekł Ducroc stanowczym tonem.

— Bardzo pięknie, — odezwał się jeszcze Bardet. — Ale jeżeli pies nie będzie mnie słuchał?

— Frisquet pójdzie za panem na koniec świata, jeżeli zechce pan iść tak daleko, rzekł Sebastyan. Nieprawdaż Frisquet, mój dobry piesku, będziesz posłuszny?

Pies począł skakać koło ajenta, wyrażając tem swą zupełną zgodę.

— Wobec tego, ponieważ Frisquet gotów jest towarzyszyć mi, więc w drogę! — rzekł Bardet.

— Hola! mój przyjacielu! — zawołał Sebastyan — nie może pan iść w mundurze żuawa, nasz zbieg poznałby pana odrazu. Trzeba się przebrać. Czy nie ma pan jakiego wolnego ubrania, panie Bazoche?

— Mam bluzę, spodnie i czapkę murarza, — odparł szynkarz. — Czy to będzie dobre?

— Niech pan daje!

We wprawnych rękach Sebastyana powierzchowność Bardeta zmieniła się nie do poznania. Po zdjęciu wąsów i koziej bródki, twarz pokryta pyłem gipsowym, jak twarz prawdziwego murarza wyglądała młodo. Krótko ostrzyżoną blond głowę pokryła ciemna peruka z włosami, pokrytemi białym pyłem. Ręce powalane wapnem i szkopek z gipsem na ramieniu dopełniały metamorfozy.

Bardet zadowolony ze swego wyglądu chciał iść. Ale Sebastyan zatrzymał go.

— A Frisquet? Nie pomyślał pan o nim, przecież łatwo go poznać! Nie ma pan czasem — ojcze Bazoche, odrobiny czarnej farby?

— Dobrze pan trafił. Właśnie niedawno poprawiałem szyld i zostało mi trochę farby.

Wyszedł na podwórze i począł szukać w kącie, gdzie składał różne nieużytki. Wreszcie znalazł sporą blaszankę po konserwach i wniósł ją tryumfalnie do sali. W blaszance znajdowała się czarna ciecz.

— Oto jest!

— Doskonale! — rzekł Sebastyan. — Weźmiemy się teraz do ciebie, Frisquet.

Mądre zwierzę położyło się posłusznie. W parę chwil żółtawa, kręcąca się sierść psa zabarwiła się na czarno.

— No skończone! — zawołał Sebastyan, wygładzając psa starą szczotką, żeby lepiej rozprowadzić farbę.

— I jeszcze jedno—dodał Frisquet, — zmieniając barwę zmienia zarazem imię, nazywa się teraz Mucha. Jest to, że tak powiem jego imię bojowe.

No, Mucho, idź z panem i sprawuj się dobrze, inaczej będziesz miał ze mną do czynienia!

Pies odpowiedział wesołem szczeknięciem i pociągnąwszy parę razy Bardeta zębami za bluzę, wypadł jak szalony na ulicę.

— Bardzo dobrze! — pochwalił Sebastyan.

— Gdziem mam panu zdać sprawę ze śledzenia? — zapytał Bardet Ducroca.

— Tutaj, odparł szef... zda pan raport panu Jamot, a gdyby go nie było, ojcu Bazoche, który nas zawiadomi. Czy ma pan pieniądze? — dodał sięgając do kieszeni. — Niech pan pamięta, że nie można się wstrzymywać wydatkiem kilkudziesięciu franków, gdy chodzi o taką sprawę. Niewiadomo, co może pana spotkać.

— Do licha! Tego się nie odrzuca.

— Proszę! — rzekł szef, podając banknot pięćdziesięciofrankowy. Teraz jest pan zaopatrzony... No, powodzenia!

Bardet wybiegł z szynku.

ROZDZIAŁ IX.

Pierwsze tropy.

— Teraz — rzekł p. Ducroc do Sebastyana, gdy powrócili do bocznego pokoju, zamknąwszy za sobą starannie drzwi, — teraz możemy mówić spokojnie, nie obawiając się podsłuchania.

— Tak, — odparł detektyw. — Zdam panu sprawę ze swych postępków, spostrzeżeń i przypuszczeń. Przedewszystkiem muszę zaznaczyć, że znam dokładnie sprawę lub raczej wszystkie sprawki Fabrykanta mumii. Wczoraj zaraz po przybyciu do Paryża, nie tracąc czasu, udałem się do biblioteki narodowej, gdzie przestudyowałem dzienniki, zawierające szczegóły sensacyjnych wydarzeń z ostatnich czasów. No i ta cała historya jest dla mnie jasna, jak słońce!

— Jakto? — krzyknął p. Ducroc, podskakując na krześle.

— Bez wątpienia, — odparł poważnie Sebastyan.— Dla mnie te wszystkie tajemnice i nadzwyczajne awantury wyglądają jak prosta dziecinna zagadka.

— Pan żartuje chyba?

— Nigdy w świecie. Zaraz pan sam zobaczy. Proszę tylko rozwiązać razem ze mną jedno pytanie. Postawimy je w takiej formie: „Kto jest Fabrykantem mumii“.

— Ależ to jest właśnie to, czego szukamy! — zawołał p. Ducroc zniecierpliwiony.

— Przepraszam, odparł ze spokojem detektyw, tego właśnie nie potrzebujemy szukać, gdyż to już wiemy...

— Wie pan, kto jest Fabrykantem mumii? — zawołał szef bezpieczeństwa, nie posiadając się ze zdumienia.

— Nie wiem, jak się nazywa, ale wiem, kim jest i zaraz panu dowiodę.

— Proszę! Bardzo jestem ciekawy!

— W tej chwili zadowolnię tę ciekawość. Otóż przedewszystkiem zbrodniarz ów nie jest zwykłym rabusiem, co do tego nie może być dwu zdań; to widać ze skomplikowanych sposobów jego działania, w których inteligencya i pieniądze wzajemnie się wspomagają.

— Zgadzam się z panem, ale to objaśnienie nie wystarczające.

— To też nie zatrzymuję się na niem. Dalej, Fabrykant mumii to człowiek żyjący wystawnie, wydający mnóstwo pieniędzy. Łatwo to wywnioskować z faktu, iż rabuje ogromne sumy i powtarza te rabunki często.

— Bardzo pięknie! Ale to są ogólniki... o tem, co mi pan mówi, myślałem tysiąc razy!

— Cierpliwości! Idę dalej. Człowiek, którego potrzeba pieniędzy doprowadza do zbrodni, musi posiadać jakąś namiętność, która opanowała go w zupełności. Z pomiędzy namiętności, które z człowieka robią niewolnika, mogę wymienić tylko dwie: grę i kobiety. Stąd prosty wniosek. Fabrykant mumii jest graczem lub kobieciarzem. A może nawet jednym i drugim, to się zdarza.

— Tak... Tak... — rzekł p. Ducroc, w którego umyśle wywody detektywa poczęły budzić podejrzenia, spoczywające tam oddawna, ale tak nieuchwytne, tak niepewne, iż nie ośmielał się ich sformułować nawet wobec samego siebie.

— Teraz jeszcze jeden argument. Fabrykant mumii jest człowiekiem nauki. O tem pan wie również dobrze, jak i ja. Oto opis pola, na którem trzeba robić poszukiwania. Sądzę, że takiego człowieka nietrudno znaleźć.

Szef bezpieczeństwa zadrżał. Jego podejrzenia przybrały kształt realny i przez chwilę miał przed oczyma sylwetkę dobrze znaną.

Nie odpowiedział jednak nic.

Sebastyan ciągnął dalej, zdając się nie zauważać jego wzruszenia.

— Trzymając się ściśle tych danych, łatwo było wpaść na trop zbrodniarza. Tymczasem, cóż zrobiono? Same błędy...

— O! przepraszam! — przerwał p. Ducroc, dotknięty do żywego w swej ambicyi zawodowej.

— Proszę mi darować, panie szefie, ale winienem powiedzieć panu całą prawdę, i czynię to. Zresztą ten zarzut nie stosuje się do pana. Człowiek na pańskim stanowisku może patrzeć na rzeczy tylko z góry. Źle panu pomagano.

— To prawda, — odparł urzędnik, ułagodzony.

— Daleki jestem, ciągnął sławny detektyw, od chęci obniżenia wartości moich kolegów; są to dzielni ludzie, którzy posiadają znaczne zasługi. To nie przeszkadza jednak, iż w tym wypadku nie dorośli do wysokości zadania.

— Zgadzam się z tem — rzekł szef, podając Sebastyanowi tabakierkę.

— To też powtarzam: robiono same błędy. Zamiast zwrócić całą uwagę na rzecz główną, rozpraszano się na szczegóły, starano się rozwiązać każdą poszczególną zagadkę, niemożliwą do odgadnięcia wobec zręczności człowieka, z jakim mamy do czynienia.

— Niestety! — westchnął szef bezpieczeństwa, przypominając sobie cały szereg swych niepowodzeń.

— Rzucano się na podrzędnych wspólników, którzy nic nie wiedzieli, którzy nic nie mogli wiedzieć! Weźmy taką panią Jude...

— Więc pan przypuszcza naprawdę?

— Jestem pewny, że ta kobieta nie udaje. Nic nie powiedziała, gdyż nic nie wie, to bardzo proste. I wszyscy ci ludzie są tylko narzędziami w ręku Fabrykanta mumii, który ma nad niemi wpływ dzięki swym środkom naukowym. Muszą go ślepo słuchać, nie zdając sobie sprawy z tego, co robią.

— Być może!

— Przypuśćmy, że pan pochwycił człowieka, który dostawił do pracowni rzeźbiarza figurę gladiatora, lub tego, który przywiózł beczułkę Szambertyna, pokojówkę z pałacu Colleta lub wreszcie rudego mężczyznę i kobietę z zielonemi oczyma, czy pan sądzi, że dowiedziałby się pan od nich czegokolwiek! Nie, byłoby to samo, co z panią Jude; wszyscy ci ludzie zapewnialiby pana uporczywie i z najlepszą wiarą, że nic nie wiedzą. I powiedzieliby prawdę... Nie, obrano złą drogę, albo też, jeśli się chce dowiedzieć czegoś pewnego na tej drodze, trzeba poznać sposoby działania Fabrykanta mumii, których nikt nie zna, a które mogą się jedynie opierać na nauce.

— A pan zna te sposoby?

— Zdaje mi się...

— Więc? — zapytał p. Ducroc z żywą ciekawością.

— Przepraszam, panie szefie, ale wolałbym, żeby to pozostało w tajemnicy, na wyjawienie której jest jeszcze za wcześnie. Zresztą, mam tylko przypuszczenia i byłoby nierozważnie podawać je jako fakty realne.

— No, ale — nastawał prefekt, — może mógłbym wiedzieć, jakiego rodzaju są te przypuszczenia?

— Mój Boże! — odparł Sebastyan — nie widzę racyi, dla której mógłbym panu odmówić. Otóż, przypuszczam, że Fabrykant mumii obdarzony jest straszną siłą, która pozwala mu dyktować innemu mózgowi swą wolę w sposób tak absolutny, iż tamten czyni wszystko, co mu każą bez wahania, bez namysłu...

— Hypnotyzm! — krzyknął p. Ducroc, w którego mózgu każde słowo Sebastyana potwierdzało jego własne podejrzenia.

— Tak myślę... Ach! gdyby Staub nie był tak niedoświadczony i niezdecydowany... miał przecież w rękach koniec nitki. Ale biedak dał się oszukać jak dziecko temi śladami w ogródku przy ulicy świętego Jakóba...

— Jednakże to biło w oczy...

— Właśnie, te ślady zanadto biły w oczy, żeby miały być prawdziwemi... To był podstęp... Nigdy zbrodniarz, gdyby był nawet najgłupszym, nie pozostawi po sobie takich wyraźnych śladów...

— Dlaczego?... przecież te ślady nie były kompromitujące, do niczego nas nie doprowadziły.

— Ale wzbudziły podejrzenia co do tych Niemców, co było już bardzo ważne, gdyż odwróciły uwagę od kryjówki, na której przedewszystkiem trzeba się było zatrzymać.

— O jakiej kryjówce pan mówi? — zapytał p. Ducroc.

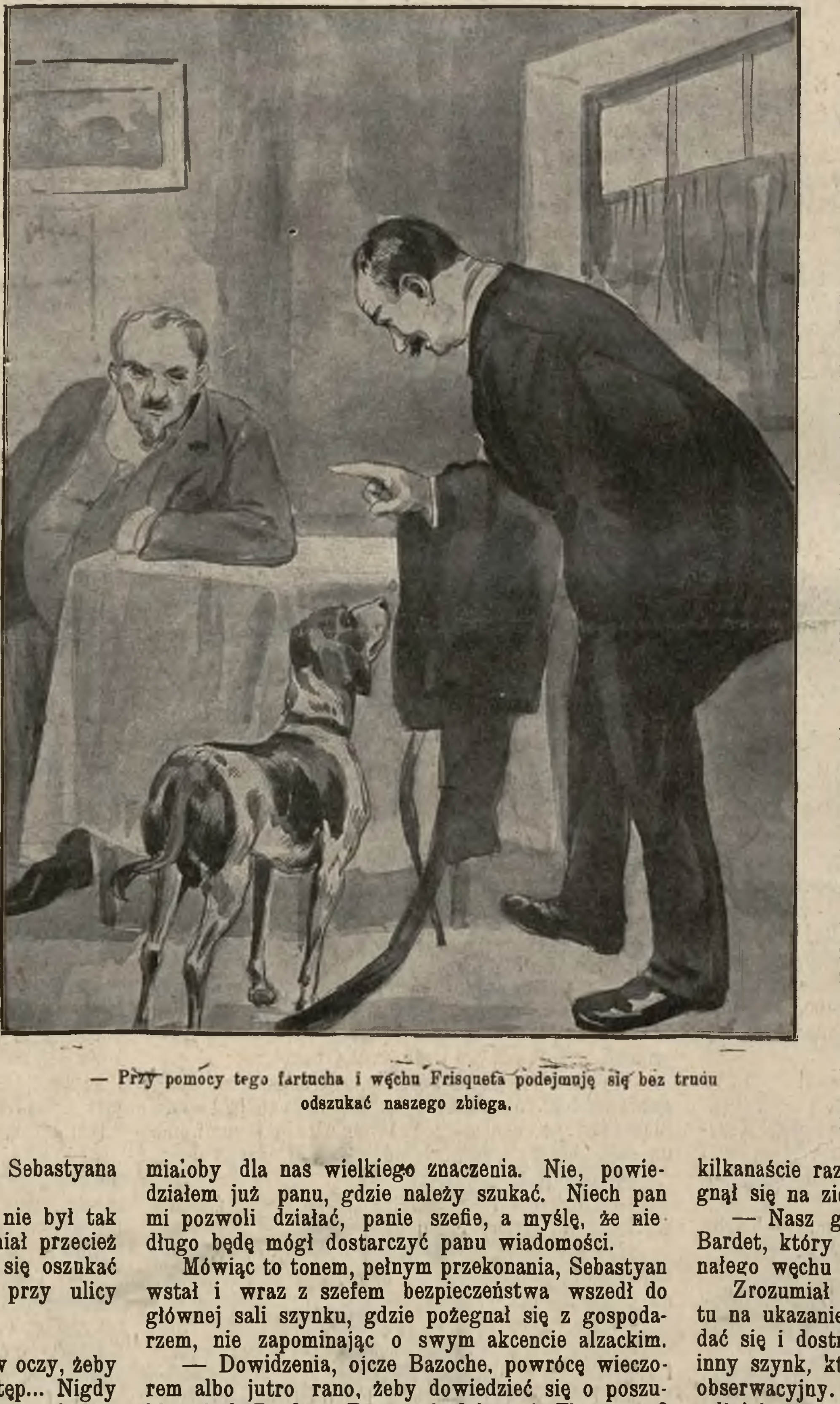
— O samym domku, który musi być specyalnie urządzony do tego rodzaju zbrodni. To jasne: mieszkańcy tego domku muszą mieć pod ręką sposób do popełnienia swych zbrodni. Przecież, inaczej nie wybieraliby tego domu, mając zamiar dokonać porwania księcia, podczas gdy dom ten był pilnowany przez policyę.

— Więc pan jest zdania?

— Że ten dom zawiera sekret zniknięcia barona Coller i księcia Burg-Hausen. I o tym sekrecie dowiem się, choćbym miał przeszukać dom od fundamentów do strychu, choćbym miał wyjmować kamień po kamieniu! Za trzy miesiące najdalej powiem panu nazwisko Fabrykanta mumii.

— Niech panu Bóg dopomaga! — Jeszcze jedno: niech pan się zastanowi nad tą ostatnią sprawą na ulicy Cambon. Czy to nie dyabelska jakaś zręczność? W jaki sposób wyszła ta kobieta, ta sama przeklęta kobieta, która odważyła się wyjść za mąż za tego nieszczęsnego Bridgetona? I pomyśleć tylko, że była otwarcie na balu jubilerów i że mogliśmy ją tak łatwo pochwycić! Ale kto mógł podejrzewać w tej kobiecie wspólniczkę Fabrykanta mumii?

— Powtarzam panu, panie szefie, pozostawmy w spokoju tych wspólników podrzędnych. Ta kobieta gra znaczniejszą rolę od innych, ale ostatecznie jest tylko biernem narzędziem. I schwytanie jej nie



— Przy pomocy tego fartucha i węchu Frisqueta podejmuję się bez trudu odszukać naszego zbiega.

miałoby dla nas wielkiego znaczenia. Nie, powiedziałem już panu, gdzie należy szukać. Niech pan mi pozwoli działać, panie szefie, a myślę, że nie długo będę mógł dostarczyć panu wiadomości.

Mówiąc to tonem, pełnym przekonania, Sebastyan wstał i wraz z szefem bezpieczeństwa wszedł do głównej sali szynku, gdzie pożegnał się z gospodarzem, nie zapominając o swym akcencie alzackim.

— Dowidzenia, ojcze Bazoche, powrócę wieczorem albo jutro rano, żeby dowiedzieć się o poszukiwaniach Bardeta. Pan wychodzi, panie Thouvenet? Wyszli razem i zaraz za progiem szynku rozeszli się w różne strony.

ROZDZIAŁ X.

Jak Frisquet odnalazł ślad i co z tego wynikło.

Pies, wypadłszy z szynku, zatrzymał się i podniósł pysk, wciągając powietrze. Potem opuścił głowę i przebiegł kilkanaście kroków w stronę placu włoskiego. Ale widocznie nie był zadowolony z rezultatów, gdyż zawrócił gwałtownie, zatrzymał się przed szynkiem i obwąchiwał chodnik, drapiąc łapami z wściekłością. Wreszcie pobiegł w przeciwną stronę tak szybko, że Bardet z trudnością mógł za nim nadążyć. Uliczka skręcała prawie pod prostym kątem na prawo, rozszerzając się, zabudowana była w tem miejscu staremi kamienicami o zakratowanych oknach. Dalej przechodziła w ulicę Croulebarbe, łączącą bulwar Augusta Blanqui z avenue des Gobelins. Frisquet bez wahania skręcił na prawo, Bardet musiał biedz, żeby nie stracić z oczu psa, który uniesiony zapałem, zdawał się zapominać zupełnie o swym nowym panu.

Na szczęście ulica była szeroka i prawie bezludna. Wkrótce jednak Frisquet zatrzymał się na skrzyżowaniu dwu ulic. Po chwili wahania, zakreśliwszy kilka kół, zawsze z nosem przy ziemi, skoczył w boczny zaułek, tu zatrzymał się przy domu Nr. 19, obwąchał starannie drzwi i począł je drapać z całej siły, jak gdyby pragnąc otworzyć.

Widząc, że usiłowania jego pozostały bez rezultatu, odwrócił głowę, szukając swego pana, o którym dotąd zdawał się nie pamiętać.

Bardet zbliżył się, a pies nanowo począł dobijać się do drzwi.

— Ba! — mruknął ajent, — nie mogę przecież tak ni z tego ni z owego wleźć do cudzego mieszkania. Nie mam prawa. Zresztą, jeżeli ten garson jest tam, to nie mamy czego się śpieszyć.

Ale wzrok psa był tak wymowny, Frisquet tak zdawał się nalegać, machając rozpaczliwie ogonem i ciągnąc Bardeta za bluzę, że ten wreszcie zdecydował się.

— Ostatecznie — rzekł — możemy zajrzeć, to nie jest niebezpieczne.

Nacisnął ostrożnie klamkę i otworzył drzwi.

Ku wielkiemu swemu zdziwieniu ujrzał, że drzwi nie prowadzą do wnętrza mieszkania, lecz do wąskiego, ciemnego przejścia między dwoma rzędami starych, niskich, brudnych domków. Przejście to zawieszone było bielizną, suszącą się na poprzeciąganych od domu do domu sznurach. Na drewnianym balkonie, ciągnącym się wzdłuż szeregu domków, wisiało mnóstwo skórek króliczych. Nieznośny odór wypełniał ten kąt ciemny, brudny i ponury.

Ale Frisquet widocznie nie stracił mimo to śladu, gdyż wpuszczony przez ajenta wykonał kilka szalonych skoków i wspiąwszy się na tylnych łapach, liznął twarz Bardeta. Wyraziwszy w ten sposób swą radość, odrazu uspokoił się i począł posuwać się z nadzwyczajną ostrożnością.

Bardet, obdarzony zmysłem obserwacyjnym, nie mógł nie zauważyć tej zmiany w zachowaniu się psa i zrozumiał, że poszukiwany przez nich człowiek musi być gdzieś niedaleko.

Rzeczywiście Frisquet zatrzymał się przed brudnym, odrapanym domem, którego dół zajmował szynk, o czem świadczył na wpół zatarty napis na ścianie.

Przybywszy tu, Frisquet wciągnął kilkanaście razy powietrze nosem, poczem rozciągnął się na ziemi i zamknął oczy.

— Nasz gagatek musi być tutaj — pomyślał Bardet, który nabrał już zupełnej ufności do doskonałego węchu psa.

Zrozumiał jednak odrazu, że nie mógłby czekać tu na ukazanie się śledzonego. Począł więc rozglądać się i dostrzegł po przeciwnej stronie przejścia inny szynk, który doskonale nadawał się na punkt obserwacyjny. Nie namyślając się, wszedł do niskiej sali i kazał podać sobie kieliszek wódki.

Szczęście sprzyjało mu. Zaledwie usadowił się przy oknie za brudną firanką, na balkonie po przeciwnej stronie przejścia ukazał się człowiek wysokiego wzrostu z gęstą, rudą brodą i takiemiż włosami, ubrany w zniszczony, popielaty paltot i stary, twardy kapelusz. Spojrzał szybko w dół i nie widząc nic podejrzanego, zbiegł po zewnętrznych schodach. Na dole znowu rozejrzał się, poczem pośpiesznie oddalił się w głąb przejścia, zdając się niezauważać obecności psa. Frisquet poczekał spokojnie, aż rudy mężczyzna odszedł kilkanaście kroków, poczem wstał powoli, przeciągnął się i ruszył za nim.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jubileusz urzędnika-obywatela.

W tych dniach Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie obchodziło piękną uroczystość: 25-lecie pracy jednego z swych najbardziej zasłużonych urzędników, p. Ignacego Biskupskiego.

Jubilat, który swą pracę rozpoczął w Krakowie, zdolnościami i sumiennością zwrócił na siebie uwagę i niebawem też został przeniesiony na bardziej odpowiedzialne stanowisko do Lwowa, a stamtąd do Tarnopola, gdzie piastował urząd naczelnika sekcyi.



Jubileusz urzędnika-obywatela: Rad m. Ignacy Biskupski, naczelnik biura Tow. wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie.

Powróciwszy w r. 1904 do Krakowa, p. Biskupski objął ważny posterunek naczelnika biura, uzyskawszy na tem stanowisku zarówno uznanie za swą gorliwą pracę, jak i życzliwość kolegów.

Jubilat nie zasklepił się jednak tylko w ściśle zawodowej pracy. Rozwija on również szeroką działalność obywatelską i społeczną, jako radca miejski i wiceprezes Związku ekonomicznego urzędników, profesorów i nauczycieli. To też uroczystość jubileuszu p. Biskupskiego, która odbyła się w wielkiej sali Tow. Wz. Ubez., miała przebieg bardzo serdeczny i była wyrazem powszechnego uznania dla jego zasług jako urzędnika-obywatela...

Zgon twórcy awiatyki.

Nie ulega wątpliwości, że największą zdobyczą XX wieku jest awiatyka, podbój powietrza przez człowieka, który dziś na podobieństwo ptaka może unosić się w przestworzach. Jestto zasługa całej armii wynalazców i lotników, którzy tę największą zdobycz ducha ludzkiego przypłacili własnem życiem. Największe jednak zasługi dla opanowania powietrza położył zmarły w tych dniach Wilbur Wright, którego można nazwać ojcem awiatyki. Nie danem mu jednak było zginąć, tak jak zginęło wielu jego towarzyszów-awiatorów, na aparacie lotniczym. Smierć przyszła doń w postaci ciężkiego tyfusu, na który zapadł w mieście Dayton w Stanie Ohio w Ameryce.

Wilbur Wright wraz z swym bratem położyli najtrwalszy kamień węgielny pod rozwój awiatyki i jej dotychczasowe zdobycze. Od r. 1908, kiedy Wright ze swym aparatem po raz pierwszy przybył do Europy, problem ptaka człowieka został rozwiązany; on i jego brat zdobyli pierwsze rekordy w podróży powietrznej. To też ze śmiercią Wrighta traci awiatyka jednego z najdzielniejszych swych twórców.

Illustracya nasza przedstawia Wilbura Wrighta ze swym kolegą Diesandierem.

Echa „rewolucyi" budapeszteńskiej.

(Do illustracyi na str. 4).

Rozruchy, jakich widownią był niedawno Budapeszt, ciągle jeszcze odzywają się reminiscencyami w zajściach lub wypadkach ulicznych.

Już kilkakrotnie usuwano kamienie, które niewyśledzeni sprawcy kładli na szynach kolei miejskiej, chcąc spowodować katastrofę. W ubiegłym tygodniu jednak nie zdołano w ten sposób uniknąć nieszczęścia. W bliskości ulicy Salgotaryańskiej wpadły wozy kolei miejskiej na ułożoną na szynach kupę kamieni. Pierwszy wóz wykoleił się i spadł z nasypu kolejowego. Pięć osób zostało ciężko, a siedm lekko poranionych.

Jak sprawdzono, był to akt zemsty, skierowany przeciw policyi budapeszteńskiej, za udział jej w tłumieniu rozruchów, pierwszym wozem bowiem jeździli zwykle funkcyonaryusze policyi.

Sprawa rozruchów budapeszteńskich odzywa się więc jeszcze groźnem echem zamachów.

Illustracya nasza przedstawia miejsce katastrofy z przewróconym wagonem.



Zgon twórcy awiatyki: Zmarły awiator Wilbur Wright (od strony lewej) z swym towarzyszem Diesandierem.



IV. Zjazd Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych: Grupa uczestników tegorocznego zjazdu w Tarnowie. (Fot J. Bednarski, Tarnów).

Kronika tygodniowa.

W niedzielnym numerze krakowskiego *Głosu Narodu* spotykamy się na naczelnem miejscu z bardzo ważnym artykułem, zatytułowanym „Poważne niebezpieczeństwo“.

Autor stwierdza, niestety zupełnie słusznie, iż na wsi polskiej i to szczególniej w zachodniej Galicyi zaczynają powstawać nowe, niebezpieczne fermenty, socyaliści bowiem, owładnąwszy w znacznej mierze proletaryatem miejskim, usiłują dostać się i na wieś, do sług i robotników rolnych. Prowadzi się w tym kierunku coraz intenzywniejszą akcyę i to dwiema drogami, przez bezpośrednią agitacyę w kraju i przez nawiązywanie stosunków z wychodźcami na obczyźnie.

W samym wiejskim okręgu krakowskim, w ciągu niespełna roku, odbyło się około dwudziestu wieców i zebrań socyalistycznych, którym toruje drogę rozpowszechniane masowo „Prawo ludu“.

W ten sposób milionowe masy proletaryatu rolnego — kończy autor — atakowane z dwu stron, przez socyalistycznych agitatorów i socyalistyczną prasę, będą powoli przesiąkały radykalnemi hasłami i zasadami. Agitacya socyalistyczna ma pole ułatwione dzięki temu, że ze strony katolickiej nie podjęto dotąd żadnych kroków, aby ziemu przeciwdziałać i dla robotników rolnych stworzyć polską chrześcijańską organizacyę, mającą na celu obronę i popieranie materyalnych i moralnych interesów tej klasy.

Uwagi zupełnie słuszne i bardzo na czasie. Sprawa jest niezmiernie ważną i doniosłą, należy więc, choć późno, zabrać się do przeciwdziałania tym zgubnym prądom, które zaczynają już nurtować na wsi polskiej.

O uświadomieniu wieśniaka polskiego w duchu narodowym wiele się mówi i pisze, niema jednak jednolitej akcyi w tym kierunku, widzimy tylko tu i ówdzie odosobnione wysiłki, nie dające przecież pozytywnych rezultatów.

Trzy są czynniki, które razem wzięte, mogłyby sprawę raz na zawsze uregulować, a są nimi: kościół, szkoła i dwór.

Wieśniak nasz z dawnych już czasów odnosi się z nieufnością do każdego surdutowca, stosunkowo najwięcej wierzy swemu duszpasterzowi, nauczycielowi i dziedzicowi, o ile oni jednak odnoszą się doń z życzliwością.

Co do duchowieństwa, to stwierdzić należy, że pracuje ono gorliwie, z bardzo małymi wyjątkami, dla dobra porucżonej swej pieczy owczarni. Szczególniej w Galicyi wschodniej widoczne są już błogie skutki tej działalności, tam plebania jest nie tylko ostoją katolicyzmu, ale i silną twierdzą polskości. Tem się też tłumaczą ataki prasy socyalistycznej, a choćby tylko radykalnej, na księży. Tak jedni, jak i drudzy, wrogowie ludu, choć zbliżający się doń w postaci obrońców, wiedzą dobrze, że jeśli duchownego potrafią zohydzić w oczach jego parafian i zachwiać w niego wiarę, pozbędą się swego największego i najgroźniejszego nieprzyjaciela.

Proboszcz na wsi, to nie tylko duszpasterz, który ma czuwać nad zbawieniem dusz swych owieczek, to także najbliżej nich stojący opiekun, pomocnik i doradca. Jeśli wieśniak będzie wiedział, że w każdym kłopocie i zmartwieniu znajdzie u niego nie tylko życzliwe słowo pociechy, ale skuteczną pomoc i radę, nie będzie szukał obcych opiekunów, którzy potrzebują go tylko o tyle, o ile może im służyć jako powolne narzędzie do przeprowadzenia interesów partyjnych.

Nie zgodziłbym się więc częściowo na zapatrywania kuryi rzymskiej, która poleca duchowieństwu wstrzymanie się od pracy społecznej, udziału w kasach zapomogowych, spółkach rolniczych i t. p., im bowiem duszpasterz zżyje się silniej ze swą parafią, tem dodatniejsze będą skutki tej działalności.

W tym kierunku należałoby wychowywać młode pokolenie, chcące się poświęcić stanowi kapłańskiemu, zapoznawać je z życiem ludu i jego potrzebami. Religia na tem nie ucierpi, owszem zaciśnie to węzły, jakie powinny być nawiązane między plebanią a tem samem i kościołem, a gminą.

Ksiądz powinien świecić przykładem, na jego życiu musi się wzorować cała jego owczarnia. Jeśli tak nie jest, więcej przyniesie szkody, niżby mogło wyrządzić i stu socyalistycznych agitatorów, którzy każdą jego słabą stronę, choćby nawet stosunkowo najbardziej niewinną, potrafią przedstawić w najczarniejszych barwach, bo to woda na ich młyn.

Przy tej sposobności warto też wspomnieć, że nawet prasa, która rzekomo nie występuje wrogo przeciw kierunkowi chrześcijańskiemu, choć nie ma odwagi ze względu na swych „monetodajnych“ opiekunów przyznać się otwarcie, czy jest za nim, czy przeciw niemu, choć w cichości ducha uznaje, że ksiądz dla wieśniaka lub robotnika to osoba o bardzo wielkiem znaczeniu, nie omija przecież żadnej sposobności, aby, gdzie się tylko da, przyczepić mu jakąś łatkę. Tu wchodzi w grę zapoznanie ogólnego dobra ze względu na interesy jakiegoś stronnictwa. Wychodzą z zasady: kto nie z nami, ten przeciw nam!

Drugim czynnikiem, który na polu uświadomienia narodowego także bardzo ważną powinien odgrywać rolę, to szkoła.

Nauczyciel ma nie tylko kształcić młodzież w myśl przepisów, wydanych przez c. k. Radę Szkolną krajową, nauczyć ją czytać, pisać i rachować, aby posiadła wymagane przez przepisy *quantum* wiedzy, powinien on po księdzu być drugą osobą w gminie, zawsze chętną do pospieszenia z pomocą i radą, gdzie jej potrzeba, choć bowiem surdutowiec, żyje jednak między tym ludem i jak nikt inny, zna jego potrzeby i wymagania.

Aby jednak mógł skutecznie pełnić swe obowiązki, choć bardzo szczytne, ciężkie przecież i bardzo nieraz przykre, musi też być za to i odpowiednio wynagradzany. Tymczasem ciężko mu, u nas zwłaszcza, wywalczyć sobie jakieś znośniejsze warunki bytu. W latach podeszłych chyba, gdy, jak to powiadają, „zasiedział się“ już na jednem miejscu i zagospodarował, wiedzie mu się jako tako, w tym wieku opuszcza go przecież dawna młodzieńcza energia i całą swą pracę ogranicza do odbycia wyznaczonych podziałem godzin nauki. Czyni to jednak więcej z musu, niż z przejęcia się swem powołaniem, bojąc się odpowiedzialności wobec pana inspektora okręgowego, a zapominając o swej ważniejszej odpowiedzialności wobec własnego społeczeństwa.

Jeśli więc to społeczeństwo chce, aby pracował, jak się należy, w tym wieku, kiedy jeszcze posiada zapał i całą pełnię energii, niech i ono zajmie się jego losem i da mu to, czego potrzebuje, aby nie potrzebował się oglądać za kawałkiem chleba. A tem to łatwiejsze, że o losie nauczycielstwa rozstrzyga nie rząd centralny, ale nasz własny sejm krajowy, któremu ta sprawa leżeć chyba powinna na sercu.

Nie w każdej wsi jest ksiądz, w każdej prawie nauczyciel, jeśli oni obaj podadzą sobie ręce i wystąpią wspólnie jako przyjaciele, opiekunowie i doradcy wieśniaka, jeśli potrafią zyskać sobie jego zaufanie i przekonać go, że bezinteresownie działają na jego korzyść i pożytek, postronne wpływy w gminie muszą się ograniczyć do minimum. Jedno słowo tych, którzy żyją razem z wieśniakami i stykają się z nimi na każdym kroku, będzie miało większą wagę, niż najbardziej nawet kwieciste obietnice różnych przewrotowców.

Choć swoją drogą przyznać trzeba, iż ci ostatni umieją obiecywać i potrafią grać na instynktach jeszcze dość ciemnego ludu. Zniesienie podatków, podział pańskich gruntów i podobne, to ważne atuty, które wygrywają ilekroć, tego potrzeba.

Aby jednak te obietnice, nigdy spełnić się nie mające, a przecież tak ponętne, nie znajdowały oddźwięku w bezkrytycznie zapatrującym się na sytuacyę tłumie, należy nieść przed nim „oświaty kaganiec“, pocieszać go i uświadamiać, nie tylko w sali szkolnej, ale wszędzie i zawsze, ilekroć po temu nadarzy się sposobność. A tej chyba nigdy nie braknie. Przejęty swem szczytnem powołaniem nauczyciel znajdzie na każdem miejscu sposobność, by rzucić dobrą radę, pocieszyć i wskazać właściwą drogę, jednem słowem, ma to być nie nauczyciel-urzędnik, ale nauczyciel obywatel w całem tego słowa znaczeniu.

I tutaj więc potrzeba ludzi z powołaniem, którzy zawodowi nauczycielskiemu poświęcają się z przekonania, a nie dlatego tylko, aby znaleźć sposób do życia i zaopatrzenia na starość dla siebie i dla swej rodziny, nie takich, którzy „odrabiają“ tylko swe godziny, a o nic innego się nie troszczą... Do takich wieśniak nasz nie nabierze nigdy zaufania, uważając ich za urzędników, na których utrzymanie musi płacić podatki.

Trzecim, również ważnym czynnikiem, powinien być dwór.

Niestety, po większej części tak nie jest! Minęły już te czasy, gdy obywatel uważał się za ojca, przyjaciela i doradcę swych sąsiadów ze wsi. Dziś, albo dworu we wsi już niema, gdyż ulegając gorączce spekulacyjnej rozparcelowano grunta, albo też rozsiadł się w nim ktoś, obcy nam duchem, mową, i wiarą.

Gdzie jeszcze potomkowie dawnych właścicieli potrafili utrzymać w swem ręku bodaj strzępy ojcowizny, tam po największej części między dworem a gminą panuje rozdźwięk i wzajemna nieufność. Dziedzic spogląda z pod oka na gromadę, którą posądza, że czyha na całość jego majątku i radaby go między siebie podzielić, wieśniacy, dając posłuch agitatorom, podejrzywają go, iż radby zaprowadzić dawną pańszczyznę i zamienić ich w niewolników. Kto w tym względzie zawinił prócz agitatorów, którzy tylko używają broni, włożonej im w rękę przez kogoś innego, nie zastanawiajmy się, moglibyśmy bowiem w kombinacyach zajść za daleko, powiedzmy tylko: niestety, stosunki tak się ułożyły, ze dwór stracił swój wpływ na ludność wiejską, a ona nawzajem nie dowierza mu i nie ufa.

Trzeba dążyć do tego, aby, gdzie jeszcze dwór jest w rękach polskich, wzajemne stosunki między tak zwanym dziedzicem a gminą ułożyły się w ten sposób, by pierwszy uważał włościan za współobywateli, ulepionych z tej samej, co i on gliny, by spieszył z pomocą moralną i materyalną, ilekroć tylko zajdzie tego potrzeba, a z czasem wypełni się ta przepaść, jaką sztucznie wytworzono między dworem a gminą.

Jeśli wieśniak pozna, że właściciel nie czyha na jego zgubę i nie stara się o wyzyskanie jego krytycznego położenia i swej przewagi moralnej, obdarzy go napowrót swą ufnością i stanie z nim razem do pracy. Tego właśnie boją się socyaliści i dlatego starają się wmówić w naszego chłopa, że pan to wyzyskiwacz, który tuczy się tylko jego krwawicą, a o los jego zupełnie nie dba, że on chce, by wieśniak był ciemny, gdyż wtedy łatwiej go za nos prowadzić...

Być może, że tak było kiedyś tu i ówdzie, dziś, coraz częściej, spotykamy gminy, w których stosunek dworu do ludności włościańskiej oparty jest na obopólnem zaufaniu i w Bogu nadzieja, że z czasem będzie coraz lepiej i prędzej może, niż się nawet spodziewamy, nadejdzie ta chwila, o której już marzył poeta, mówiąc: Jeden tylko, jeden cud — z polską szlachtą polski lud!

Te trzy czynniki, każdy z osobna mogą sobie wzajemnie przeszkadzać i paraliżować swą działalność, jeśli jednak staną razem do wspólnej pracy nad narodowem uświadomieniem polskiego chłopa, nic im się oprzeć nie potrafi. Nasz rolnik, przywiązany do wiary ojców i swej ziemi, nie tak prędko da się otumanić jakiemiś przewrotowemi mrzonkami i w tem właśnie cała nadzieja, że jeszcze nie za późno, by powetować to, co się już straciło i naprawić, co się przez nieoględność zepsuło.

Pomocną ma być w tym względzie prasa, ale prasa w całem tego słowa znaczeniu ludowa, mająca na celu ogólne dobro, a nie interesy poszczególnych stronnictw, grup, lub koteryi. Popieranie jej, to obowiązek każdego zdrowo myślącego obywatela, który powinien o tem pamiętać, że jednością silni możemy ostać się i stawić czoło niebezpieczeństwu, jeśli zaś wzajemnie zwalczać się będziemy i wzajemnie osłabiać, staniemy się pastwą wrogów i zasłużymy so bie tylko na pośmiewisko.

Nie wstydźmy się wejść między ten lud robo czy, pracujmy nad jego uświadomieniem, nie żałujmy ofiar, pomocy materyalnej i moralnej, a wysiłki te uwieńczy pomyślny skutek.

Kto zna nasz lud polski, ten nie wątpi, że nie cofnie podanej ręki, sercem za serce zapłaci, a lepiej i dla nas i dla niego, jeśli ocknąwszy się do pracy i życia stanie przy nas, niżby miał znaleźć się pod sztandarem przewrotu społecznego, który coraz bardziej traci na wartości i nadrabia tylko miną, widząc wzmagającą się z każdym dniem liczbę dezerterów z swych szeregów...

Zasłużony weteran sceny krakowskiej.

(Do illustracyi na str. 10).

Scena krakowska żegnała w tych dniach uroczyście jednego z swych najbardziej zasłużonych weteranów. Po 40 latach owocnej pracy na chwałę polskiej sztuki i 33 latach działalności na deskach teatru krakowskiego — usunął się ze sceny z powodu nadwątlonego zdrowia ceniony artysta p. Leon Stępowski.

Urodzony w r. 1852 na Kujawach w Królestwie Polskiem z bogatej ziemiańskiej rodziny, p. Stępowski rozpoczął karyerę artystyczną w r. 1872, zaangażowany przez St. Dobrzańskiego do teatru poznańskiego. W trzy lata później, młody artysta debiutuje na scenie teatru Rozmaitości w Warszawie, odtwarzając z wielkiem powodzeniem rolę Wilczury w „Szlachectwie duszy" Chęcińskiego. Wkrótce jednak potem zakłada własny teatr prowincyonalny, który cieszy się wielkiem powodzeniem. Lecz już w roku 1879 został zaangażowany przez Koźmiana do teatru krakowskiego, któremu też nieprzerwanie służył do ostatniej chwili swym talentem, gorliwą pracą i artystyczną inteligencyą. Objąwszy po Józefie Rychterze jego repertuar, zyskał wielki sukces artystyczny, odtwarzając takie role, jak Pan Jowialski, przeor Kordecki, Sołoduch w „Miodzie Kasztelańskim", Radost w „Slubach Panieńskich", lirnik w „Kościuszce", Milczek i wiele innych.

Pracując nieprzerwanie od 33 lat na scenie krakowskiej, p. Stępowski, który przetrwał siedem dyrekcyi — jest żywą kroniką teatru krakowskiego i jego najpiękniejszych tradycyi.

To też zasłużonego weterana sceny krakowskiej żegnali z żalem zarówno koledzy, jak i publiczność, a wyrazem tych sympatyi, jakie zaskarbił sobie sędziwy artysta wśród swych towarzyszów pracy i Krakowian, były serdeczne owacye, jakie mu zgotowano na pożegnalnem przedstawieniu.

Goście wiedeńscy w Krakowie.

Przez kilka dni bawiła w Krakowie wycieczka, zorganizowana przez wiedeński związek dla pielęgnowania nauk społecznych. Uczestniczył w niej szereg wybitnych osobistości, jak szefowie sekcyi różnych ministeryów, urzędnicy ministeryalni, urzędnicy magistratu wiedeńskiego i liczne grono osób prywatnych, które przybyły do Krakowa, aby zapoznać się z dorobkiem kultury polskiej.

Wycieczkę prowadził szef sekcyi w ministeryum oświaty, radca dr. Cwikliński.

Uczestnicy wycieczki zwiedzili Kraków i jego pamiątki, urządzili następnie szereg wycieczek do Wieliczki, Okocima, Dzikowa, oglądali fabryki podgórskie i prace około regulacyi Wisły. Z Krakowa wycieczka uda się następnie do Lwowa, a stamtąd do Borysławia i Drohobycza.

Miasto Kraków przyjmowało uczestników wycieczki bankietem, a także kierownik wycieczki imieniem Wiedeńczyków wydał śniadanie na cześć gospodarzy krakowskich.

Zaznaczyć należy, że oprowadzaniem gości zajmował się krak. Związek turyst. oraz prof. J. Nowak i dr. Schneider.



Akademia szermiercza w Krakowie: Grupa członków klubu szermierzy i uczestników popisu po akademii szermierczej w Starym Teatrze.

Akademia szermiercza w Krakowie.

Jednym z najbardziej zaniedbanych u nas sportów jest szermierka. Nowocześniejsze sporty wyrugowały prawie zupełnie tę wyrabiającą zręczność i uwagę, a przytem estetyczną rozrywkę. Dopiero w ostatnich czasach młodzież zaczęła się znowu



Goście wiedeńscy w Krakowie: Uczestnicy wycieczki wiedeńskiej w otoczeniu krakowskich gospodarzy. W środku siedzi kierownik wycieczki, szef sekcyi J. E. Ćwikliński.

garnąć do mających tak świetne u nas tradycye zapasów na białą broń. Objawem tej powrotnej fali ku szermierce było powstanie niedawno w Krakowie klubu szermierzy, który w tych dniach wystąpił z publicznym egzaminem, urządziwszy przy współudziale oficerskiego klubu szermierzy akademię szermierczą w sali Starego Teatru. Zaprezentowała ona licznie zgromadzonej publiczności doskonałych szermierzy i wydała dobre świadectwo działalności klubu, który w krótkim stosunkowo czasie potrafił osiągnąć już świetne rezultaty.

Zwycięzcami w walce na pałasze zostali pp. dr. Wołkowicki i Kazimierz Pappé, którzy otrzymali medale złote, dalej dr. Włodek (wielki medal srebrny) Jabłonowski i Mikucki (małe medale srebrne). W walce na floret pierwszą nagrodę zdobył p. Jabłonowski, drugą p. Mikucki.

Illustracya nasza przedstawia grupę uczestników popisu i członków krak. klubu szermierzy po akademii w Starym Teatrze.

IV. Zjazd Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych.

Corocznie, w czasie Zielonych Świąt, odbywają się obrady członków Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych. Mają one dla naszego szkolnictwa średniego ogromne znaczenie, porusza się bowiem najważniejsze kwestye z tej dziedziny i uchwala rezolucye, które potem stanowić mają wytyczną dla władz, w szczególności zaś Rady szkolnej krajowej, przy przeprowadzaniu pożądanych zmian i reform.

Czwarty zjazd członków Towarzystwa odbył się w bieżącym roku w Tarnowie w dniach 26. i 27. maja. Zebrali się delegaci nauczycielstwa średniego z całego kraju i Ślązka i pod przewodnictwem swego prezesa, prof. Kallenbacha ze Lwowa, radzili przez oba dni nad najbardziej piekącemi sprawami, dotyczącemi naszych szkół średnich, przedewszystkiem zaś nad fatalnem ich pomieszczeniem w wielu miastach, nieuzasadnionemi potwarzami, jakie stan nauczycielski spotkały w wiedeńskim parlamencie, stosunkiem szkoły do społeczeństwa, skautingiem, reformą egzaminów dojrzałości, pragmatyką służbową w zastosowaniu do nauczycieli i kwestyą zastępców nauczycieli.

Powzięto cały szereg doniosłych wniosków, które przedłożone będą władzom szkolnym, zakończono zaś wyborami. Z powodu rezygnacyi prof. Kallenbacha obrano jego następcą prof. Ignacego Zakrzewskiego ze Lwowa. Uzupełniono też wydział, powołując nowych członków w miejsce ustępujących.



„Harakiri“ w Warszawie: Zwłoki inż. Antoniego Gawrońskiego, który popełnił samobójstwo przez rozprucie sobie brzucha nożyczkami. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

„Harakiri“ w Warszawie.

Dziwną zagadką jest człowiek... W ciągłej pogoni za szczęściem dochodzi niekiedy do tak bezgranicznej rozpaczy, że nie tylko targa się na najdroższy skarb — życie własne, ale zadaje sobie najstraszniejsze męki... Takiego okropnego czynu dokonał w tych dniach w Warszawie inżynier Antoni Gawroński. Złamany niepowodzeniami życiowemi, postanowił umrzeć śmiercią samobójczą. — W tym celu wynajął numer w pokojach umeblowanych przy ulicy Marszałkowskiej i tam na sposób japoński rozpruł sobie brzuch nożyczkami aż do worka sercowego.

Fotografię tego strasznego i wstrząsającego do głębi aktu rozpaczy przedstawia nasza illustracya.

Znowu katastrofa kolejowa.

(Do artykułu na str. 4).

Ludzkość swe zdobycze i postępy na rozmaitych polach działalności znaczy krwawem pasmem ofiar... I ulepszenia komunikacyjne, osiągające coraz większą szybkość, są opłacane ciągłemi ofiarami... Pociągi pędzą z coraz większą szybkością, ale też i katastrofy kolejowe są zjawiskiem coraz częstszem. W tych dniach zdarzyła się znowu jedna z takich katastrof na linii pomiędzy Paryżem a Pontoise. Dwa pociągi osobowe, skutkiem źle nastawionej zwrotnicy, wpadły na siebie. Przy strasznym huku, który było słychać na kilka kilometrów wokoło, lokomotywy wbiły się w siebie, a wagony piętrzyły się i druzgotały wzajemnie. Pod szczątkami wagonów znalazło śmierć około 30 podróżnych, a przeszło 50 odniosło ciężkie rany.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 21.

Łamigłówka:

War
Akt
Cep
Łan
Ara
Wór
Rok
Oda
Lis
Inn
Czy
Zan
Len
Iwo
Era
Don
Eli
Ren.

Łamigłówka literacka: Gabryela Zapolska.

Zadanie przysłowiowe: Gospodyni wesoła, gdy goście dokoła.

Kwadrat magiczny:

B
B u g
I n d v e
B o l o n i a
I n n o w a c y a
K o n t r a b a n d a
B u d o w a k a n a ł ó w
A l e k s a n d r y a
R e c e n z e n t
K a m a s z e
C a ł k a
M ó l
w

Zadanie konikowe: Kto nie szanuje grosza, sam nie wart szeląga.

Okienko:

A n d r z e j
n u a
d m m
r u m u n i a
z n j
e i k
j a m a j k a

Zadanie do przestawienia: Tłucze się, jak Marek po piekle.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Lichańska Lwów, S. Rost Rzeszów, C. Wang Rzeszów, K. Marcinkiewicz Jasło, A. Piękoś Lwów, S. Charzewski Kraków, J. Lisowski Kołomyja, R. Kalinowski Lwów, G. Górski Kraków, L. Tomaszkiewicz Warszawa, M. Więckowski Lwów, S. Gadomski Płock, J. Trepka Sandomierz, T. Mazaraki Radom, D. Sedyńska Zakopane, J. Jakubowska Kraków, A. Dużak Kraków, A. Siatka Kraków, L. Szymański Petersburg, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Obst Warszawa, K. Radoszewski Tarnobrzeg, E. Lewicki Stanisławów, J. Jasiewicz Lwów, F. Blätterfeind Kołomyja, H. Wąsowicz Tarnów, M. Kamocka Piotrków, S. Lindenbaum Czerniowce, H. Krupiński Lwów, W. Świrski Sandomierz, J. Owoc Warszawa, S. Karwowski Poznań, J. Kwaśniewski Lwów, W. Bandrowski Kołomyja, J. Ciesielski Poznań, D Engelberg Rzeszów, L. Ostrowski Sanok, E. Niestenberger Kraków, L. Niemczycki Stanisławów, J. Roland Prądnik Czerwony, J. Leszczyński Rozwadów, H. Kaniewski Kraków, H. Łopatyńska Sambor, T. Nikiel Oświęcim, I. Zerygiewicz Stanisławów, S Kowalówka Kraków Z. Łopatkiewicz Jasło, M. Kozik Lwów, S. Krzyżanowski Podgórze, S. Karczmarski Poddębie, S. Dzikowska Sandomierz, H. Srokowska Zamość, R. Ignatowicz Lwów, S. Błaszczykiewicz Zakopane, W. Reich Kraków, D. Fink Przemyśl, D. Medyński Zakopane, H. Scholz Kraków, J. Gruber Kraków, M. Klappholz Rzeszów, M. Olszewska Kraków, H. Zegartowska Bogucice, R. Wacławik Gdańsk, J. Better Lwów, K. Bartoszewski Warszawa, R Bernatowicz Sandomierz, S. Singer Lwów, M. Kownacka Warszawa, J. Cichocki Płock, A. Galiński Sambor, S. Balicki Jasło, J. Gruszczyńska Podgórze, K Kaim Radziszów, I Brzostowski Kraków, J. Strojek Tarnopol, M. Wójtowicz Bochnia, L Korytowski Sanok, H. Tyszecka Warszawa, S. Ossowski Krosno, J. Szulc Kraków, K. Habowska Zwierzyniec, R. Turoń Kraków, K. Gliński Kołomyja, A. Kadulski Kraków, H. Wincencik Zakopane, J. Misiewicz Lwów, J. Kopczyńska Bierzanów, A. Biliński Tarnów, P. Madejski Praga, M. Michałowski Lwów, J. Siegel Tarnów, J. Tulecki Podgórze, A. Gralewski Kraków, J. Janik Drohobycz, S. Bukowski Kijów, H Maciejowski Sambor, W. Łapiński Lwów, J. Radwan Warszawa, J. Roth Kołomyja, E. Osada Piotrków, E. Lewicki Stanisławów, J Trojacki Wiedeń, M. Pokorska Lwów, E. Stankiewicz Warszawa, J. Pick Warszawa, J. Solecka Zakopane, J. Antosz Bochnia, H Breda Rzeszów, E Domański Lwów, D. Schwadron Stanisławów, D Michalski Sosnowiec, K. Nowak Podgórze, S. Wojczyński Lwów, A. Słogocka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, S. Wiewiórowski Lwów, K. Dębiński Jasło, W. Potocka Rzeszów, J. Krawecki Drohobycz, K. Rylski Poznań, S. Morawska Lwów, A. Zawada Olszanica, Z. Marynowska Kraków, S. Muthsam Kraków, H Piątek Podwołoczyska, J. Jahoda Cieszyn, J. Obraczay Morawska Ostrawa, G Górecki Tarnobrzeg, J. Lasocki Stanisławów, F. Nowacki Przemyśl, R. Kozłowski Sambor, J. Jaworski Zakopane, L. Bogacki Piotrków, M. Wilkosz Kraków, J. Chmurowicz Kraków, F. Schmidt Cieszyn, S. Zachara Krosno, M Zagórska Kalisz, A. Gołębiowska Warszawa, H. Sosnowski Kijów, R. Sauer Sandomierz, K Fuchs Czeremchów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **M. Kozik, Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

„W słońcu“ powieść Jana Powalskiego. Wydawnictwo M. Arcta Warszawa 1912

Z usprawiedliwionem niedowierzaniem bierze się nową książkę nieznanego autora do ręki, tyle bowiem namnożyło się na półkach księgarskich. powieści pisanych w nader przeważającej ilości przez niewiasty, z natury gadatliwe, a właściwie nie mające nic do powiedzenia prócz ckliwych i nudnych plotek o miłostkach Numy i Pomplinsza.

Czytelnika spotyka też bardzo miła niespodzianka, gdy weźmie do ręki powieść: „W słońcu“.

Przedewszystkiem wieje z tej powieści świeżość myśli, wrażeń, subtelność obserwacyi psychologicznych, podanych w oryginalnej a nader miłej formie. W całej książce nic nie przypomina starej rutyny powieściowej. Są to prześliczne, słoneczne obrazy z życia codziennego dwóch chłopców z dworu wiejskiego. Żadnych tajemnic, przygód nadzwyczajnych, intryg, a mimo to czyta się tę powieść z niezmiernem zajęciem, tyle w niej prawdy życia, umiłowania przyrody i otoczenia.

Cała powieść trzymana jest w tonie jasnym, prawdziwie słonecznym, bez zgrzytów i jęków, często przeplatana pogodnym humorem. Wydanie staranne.

Głosy publiczne.

Akademickie Koło „Straży Polskiej“ zorganizowało w ubiegłym roku t. zw. sekcyę krajoznawczą.

Celem tej sekcyi było: **stworzyć stałą organizacyę dla rozszerzenia znajomości kraju rodzinnego i udzielania kolegom w tym kierunku wszelkiej możliwej pomocy.**

Zważywszy, że znajomość kraju ojczystego w wysokim stopniu jest u nas zaniedbaną, powtóre, że przedewszystkiem młode pokolenie, mające niebawem stanąć u warsztatu pracy narodowej, winno naprawić te braki przez wszechstronne poznanie ziemi ojczystej zarówno we wszystkich jej dzielnicach, jak i w każdym kierunku, a więc: geograficznym, etnograficznym, narodowościowym, gospodarczym i t. d., zważywszy wreszcie, że najlepszą drogą do tego jest osobiste zetknięcie się z terenem — uznaliśmy za stosowne akcyę naszą, ograniczoną w ubiegłym roku tylko dla Galicyi. rozwinąć w bieżącym na całą Polskę w przekonaniu, że wyraźne skutki potrafimy osiągnąć jedynie przez utworzenie stałej organizacyi.

Dla osiągnięcia jednak tego celu niezbędne jest poparcie całego społeczeństwa, uświadomionego w całej pełni o poważnem znaczeniu naszej akcyi

Życzliwość naszego społeczeństwa w ubiegłym roku dokazała, że mimo braku doświadczenia i szczupłych środków ze strony rozpoczętej dopiero akcyi, potrafiliśmy jednak pięknym zamiarom wielu kolegów dostarczyć realnych środków.

Zwracamy się zatem do wszystkich obywateli, którym sprawy polskie nie są obojętne, aby nam swej pomocy łaskawie udzielić raczyli Nie prosimy o poparcie pieniężne, ale **o gościnność w miesiącach wakacyjnych** (lipiec, sierpień, wrzesień) **dla kolegów akademików, pragnących poznać kraj ojczysty.** Kto jej użyczyć łaskaw, niech raczy zawiadomić nas, ilu podróżujących i na jaki czas przyjąć zechce, tudzież za jaką cenę, czy bezpłatnie, z utrzymaniem, czy bez utrzymania. Akademickie Koło „Straży Polskiej“ wyda odpowiednie książeczki ze spisem miejscowości, z których wpłynęły zgłoszenia, a przy pomocy takiej legitymacyi będzie mógł każdy w ciągu wakacyi, przy bardzo niewielkich kosztach, zwiedzić pewną część kraju, po kilku zaś wakacyach zapozna się z całą Polską

Prócz tego zwracamy się do wszystkich z prośbą o łaskawe rozszerzanie naszej akcyi wśród znajomych i krewnych t. k, aby organizacya nasza objąć mogła całą Polskę, miasto przy mieście, wieś przy wsi.

Nie wątpimy, że patryotyczne nasze społeczeństwo, rozumiejąc doniosłość naszej pracy na nowej placówce narodowej, z tym życzliwszą pospieszy pomocą.

Ze względu na zbliżające się wakacye, i potrzebę wczesnego zorganizowania całej akcyi, **prosimy nadsyłać łaskawe zgłoszenia jak najwcześniej pod adresem:**

Akademickie Koło „Straży Polskiej“ — Kraków, Uniwersytet Jagiell.

Z „CYRKU EDISON“: Program nowy z dniem 7 b. m przynosi doskonale zestawiony program. Oprócz wspaniałego dramatu socyalnego w III aktach p. t. „W szponach losu“ przynosi aktualny, jak zawsze, „Żurnal Pathego“, jako przegląd wypadków ostatniego tygodnia, zawierający nadto „Walkę z apaszami“. „Wnętrze kryjówek paryskich bandytów automobilowych Garniera i Valeta“ wreszcie doskonale udane zdjęcia z portowego miasta Ronneby w Szwecyi Stroną komiczną reprezentować będą obrazki „Niezawodny balsam“ oraz „Zegarek komisarza policyi“.

Ze świata kobiecego.

Moda a wyścigi.

Z chwilą gdy numer ten znajdzie się w rękach Czytelniczek kwestya mody letniej będzie ostatecznie rozstrzygnięta i postanowiona. Wszystko, o czem dotychczas, pisaliśmy było tylko próbą i przygotowaniem do ostatecznej kampanii, jaką jest w Wiedniu i Paryżu czas wiosennych wyścigów. Zapewne niejedna z mniej kompetentnych Czytelniczek zdziwi się, jaki wpływ na ukształtowanie mód kobiecych mają wyścigi. Otóż stwierdzić muszę, że chwila ta zarówno dla Paryża jak i Wiednia jest pod względem mody momentem rozstrzygającym.



Suknia wizytowa z miękkiego jedwabiu, ozdobiona koronkami i gazą bramowaną czarną riuszką.

Czas wyścigów wiosennych jest to ostatnia chwila dla wszystkich dam nadających ton i kierunek modzie, aby sprezentowały światu swe nowe toalety. Zaraz potem bowiem opuszczają one wielkie miasta, spiesząc na wywczasy letnie.

Tak więc jak w salonach malarskich wiosenna *vernixage* rozstrzyga o powodzeniu poszczególnych artystów, tak na polu wyścigowem o lepsze walczą magazyny konfekcyi damskiej. W Wiedniu dniem walki był 8 czerwca.

Jak wiadomo moda dzisiaj nie powstaje dowolnie wedle fantazyi chwilowych jej przedstawicielek, ale opiera się o wzory pewnej epoki. Do niedawna kierowniczką mody był czas *Empire*, stąd też w modzie królowała ta prostość linii i smukłość kształtów. Obecnie z Paryża idzie chęć zwrócenia się ku czasom *Rokoko*. Piękne upięcia fałdów, podpięcia i udrapowania spodnic i staników, oto najnowsze nabytki mody.

Przed tygodniem przyszła z Paryża inna jeszcze nowość. Oto postanowiono urozmaicić trochę jednostajność kostyumów letnich przez to, aby można ubierać żakieciki kostyumowe w innym kolorze niż jest spódniczka. Najchętniej ta różnorodność barw przyjmuje się w zestawieniu białego z czarnem. Białe spodniczki z czarnymi żakiecikami lub odwrotnie. oto ostatni wyraz mody.

Jeszcze inną nowość mamy do zanotowania. Oto



Modna parasolka biała, ozdobiona czarnym tiulem.

staje się modnem noszenie białych jedwabnych sukien na ulicę. Propagatorki tej mody wychodzą z tego założenia, że płótno, batyst lub inny lekki nie jedwabny biały materyał przy noszeniu codziennem znacznie prędzej się brudzi niż jedwab. Batyst lub płótno trzeba ciągle dawać do prania, podczas gdy jedwab można lepiej i dłużej nosić, co tem samem wyrównywa trochę wyższe koszta sprawienia sukni jedwabnej.

Smak elegantek wiedeńskich zrobił jeszcze jeden wyłom w modzie. Oto panie wiedeńskie postanowiły, aby zarzucić noszenie wązkich bucików o wysokich obcasach. Natomiast przyznano nareszcie prawo obywatelstwa bucikom t. zw. amerykańskim. Wprawdzie obawiano ich się trochę, że za mało uwydatniają szczupłość stópek niewieścich, ale ostatecznie zwyciężyły zasady hygieny i wygody.

Niech jednak panie nie myślą, że tylko dla nich okres wyścigów jest czasem krytycznym pod względem mody. Dotyczy on i panów, gdyż jak mnie zapewniano, po wyścigach stosownie do obowiązujących przepisów męzkiej mody szanującemu się obywatelowi nie wolno aż do jesieni ubrać się w cylinder.

Na zakończenie dzisiejszych uwag o modach do dam kilka cyfr, które z pewnością zaciekawią nasze panie. Jak wiadomo matką mody jest Francya. Zabiera ona rocznie 150 milionów franków za ubiory damskie. Dochody te rozdzielają się na 96 tysięcy magazynów konfekcyjnych i 19 tysięcy składów koronek i przyborów krawieckich. Z mód francuskich żyje przeszło milion ludzi, w tem jednak, co warto podkreślić, tylko 75 tysięcy mężczyzn, a 940 tysięcy kobiet.

Widzimy więc, że moda, choć jest kosztowną, ma jednak i pożyteczną stronę, bo daje zarobek całej armii pracownic.

W.



Suknia letnia z białego jedwabiu. Staniczek z muśliny, ubrany wstawkami.



Suknia sportowa. Spódniczka czarna, a żakiecik czarny z białem z dużym marynarskim kołnierzem.



Piłki nożne



LAWN-TENNIS

Rakiety, prasy do tychże.
Piłki, siatki i wszelkie przybory sportowe.

Wrotki
ameryk. łyżwy na kółkach.



APARATY GIMNASTYCZNE
angielskie, systemu Autogymnast Whitely, Sandow's i inne polecone przez największe powagi lekarskie do wyrobienia siły i muskularnych kształtów ciała.

PRZYBORY RYBOŁOWCZE
w największym wyborze.

Najlepsze FARBY OLEJNE
Lakiery, emaile, glazury bursat. Masa francuska, Cirine i wosk
Środki do czyszczenia metali.
Nowość! **„PERRUGINOL"** **Guma szmirglowa**
na rączkach do czyszczenia metali — praktyczna Nowość!

polecają najtaniej

Reim i Ska, Kraków

Rynek 37, Linia A-B.

Kule i kręgle z Lignum Sanctum i z drzewa miękkiego.
KROKIETY.
Nowość! Hanaka pat. maszyna froterująca i woskująca równocześnie, sztuka K 24·—

PERFUMY, MYDŁA, PUDRY i KREMY
z najsłynniejszych fabryk krajowych i zagranicznych.
Najświeższe nowości zawsze na składzie.
Środki i aparaty do odświeżania powietrza w pokojach. Grazya Matuli do wąsów.
Woda kolońska i perfumy na wagę.
Artykuły toaletowe i kosmetyczne



ogłaszane w „Tygodniku" i „Świecie" warszawskim zawsze na składzie.



MYDŁA
o silnych zapachach 1 kg. Kor. 1·80.
Kwiatowe w karton. 6 szt. Kor. 1·—.

Środki do barwienia i konserwowania włosów.



ŚCIBOROWSKI.K

Kraków, Floryańska 13
poleca
NA SEZON WIOSENNY i LETNI

Płaszcze angielskie,

kostyumy, bluzki jedwabne, wełniane i etaminowe, **szlafroki, sukienki** batystowe i etamin., **szale, rękawiczki, pończochy** i t. d.

Najnowszy ameryk. aparat fotograficzny „Picolo"
Tylko Kor. 1·80



Elegancko i starannie wykonany może być użyty w podróży i wycieczkach. 4×6 cm. duży kompletny razem z dodatkami. Obraz próbny oraz szkołę wedle której każdy początkujący natychmiast bez przygotowania może fotografować i wykończać fotografie. — Za zaliczką za tylko **K 1·80**
przez **Leop. Schaechter, Wiedeń 517,** XVI/2 Lerchenfe dergürtel Nr. 5.

Zdobyły dla siebie także powietrze

Faya Sodeńskie mineralne pastylki, które od 25 lat są w zastosowaniu przeciw wszelkim katarom narządów oddechowych. — Kapitalista Schmidt, który niedawno odbył podróż powietrzną i zabrał ze sobą pudełko Sodeńskich pastylek, oświadczył że tylko im zawdzięcza, że udało mu się uchronić przed poważnem zaziębieniem podczas tej ostrej jazdy. Faya Sodeńskie pastylki nie zawodzą bowiem nigdy, bez względu na to, czy się ich używa jako środka zapobiegawczego, czy też jako środka leczniczego. Pudełko kosztuje tylko K 1·25. Naśladownictwa należy bezwarunkowo odrzucić.

Do Ameryki i Kanady



przeprawia najlepiej
Linia Kunard we Lwowie, ul. Gródecka **99.**

Cena przeprawy z Tryestu do N. Yorku III. kl. od osoby dorosłej wraz z pogłównem **K 220·—**, od dziecka poniżej lat 12 wraz z pogłównem **K 120·—**.

Odjazd z portu **w Tryeście:** **Carpathia:** d. 18 czerwca 1912, **Saxonia:** dnia 2 lipca 1912, **Pannonia:** dnia 9 lipca 1912.
Z Liwerpolu: **Lusitania:** (najszybszy i najwspanialszy parowiec świata) dnia 29|6, 27|7, 17|8, 7|9 1912 r.
Mauretania: dnia 22|6, 13|7, 10|8, 31|8 1912 r.



Najpiękniejsze i najtańsze sportowe wózki dziecięce
dostarcza
„Moravia", Freistadtl 8, Morawy
Żądajcie cennika Nr. 27.

Julian Dąbrowski we Lwowie
ul. Akademicka 3, vis à vis Hotelu George'a
od wielu lat zaszczytnie znany jedyny w Galicyi
Magazyn zegarmistrzowsko-jubilerski
połączony z dwoma pracowniami.
Kupuje: **Brylanty, perły, złoto, srebro** etc. również przyjmuje stare **kosztowności w zamian za nowe.**
Wszelkie zamówienia z prowincyi uskutecznia się jak najrychlej.
Wielki wybór pierścionków zaręczynowych, szpilek i pierścionków bukietowych.



Widzimy codziennie, że ukazują się coraz to nowe środki do pielęgnowania skóry; są to prawie zawsze tylko szminki. Jedynie **Créme Simon** nadaje cerze świeżość i piękność naturalną. Jest on już od 50 lat używany na całym świecie, ku wielkiemu niezadowoleniu naśladownictw. — **Puder i mydło Simon'a** dopełniają zalety hygieniczne tego kremu. (2)

MAGAZYN Z OBUWIEM

Feliksa Łodzińskiego

2 Kraków, Szewska 2



poleca w najlepszym wyborze obuwia męskie, damskie i dziecinne.

Ceny przystępne!

Dzieci uczęszczające do szkoły



są szczególnie narażone na nabawienie się choroby włosów. Przez regularne mycie głowy i włosów środkiem

„Shampoon z marką **czarna głowa"**

zmniejsza się to niebezpieczeństwo, bodaj czy nie zupełnie się go usuwa. Ten miliony razy doświadczony środek pielęgnujący włosy **„Shampoon z czarną głową"** usuwa łupież, nadaje włosom połysk a także i włosom niebujnym nadaje pełny wygląd. — Przy zakupnie trzeba wyłącznie żądać

„Shampoon z czarną głową"

z marką ochronną obok uwidocznioną, a odrzucać kategorycznie wszelkie naśladownictwa.



Marka ochr.

(Paczka 30 hal., 8 paczek 2 kor.) także z dodatk. jaj, terru lub dodatkiem **rumianku.** Do nabycia we wszystkich aptekach, droguer. i składach perfum 2

Hans Schwarzkopf sp. z ogr. por. **Berlin Nr. 37.**

Siwe włosy

i siwa broda powodują stary wygląd.
Posługuj Pan się wyłącznie tylko

VITEK'a NICINEM

nowy, blond, brązowy albo czarny à K 2·— albo **Vitek'a Nicinem** pojedynczym à Kor. 1·— a włosy Pańskie otrzymają pierwotny naturalny kolor Do nabycia we wszystkich aptekach i drogueryach Jedynie prawdziwy z fabryki kosmet. i prepar. dyetyczn.
Fr. Vitek i Sp. Praga II, Wassergasse 19.
SKŁADY: **Kraków:** droguerya Fr. Zopotha i Sp. **Przemyśl:** apteka M. Schwarza.

Dobre, pewne budziki



I-a gatunek, idące w każdem położeniu z 3-letnią pisemną gwarancyą dostarcza **Piewsza fabryka zegarów HANNS KONRAD** c. i k. nadworny dostawca w Brüx No. 2908 (Czechy). Budzik konkurencyjny K. 2.90· Z świecącym w nocy cyferblatem K. 3·30. Adler-Roskopf budzik alarmowy K. 3.80. Z świecącym w nocy cyferblatem K 4·20.
Bez ryzyka! Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy! Wysyłka za zaliczką. Katalog główny z 4000 odbitek gratis i franco.



Telefon 23446.
Automatycz. pułapka
na szczury K 4·–, na myszy K 2·40 chwyta bez nadzoru do 50 sztuk przez jedną noc.
Nie pozostawiają żadnego zapachu i ustawiają się same przez się.
Pułapka na karaluchy
jedyna w swoim rodzaju, tysiące prusaków i karakonów w ciągu jednej nocy chwytająca à K 2·40. Wszędzie najlepszy skutek. Wysyła za zaliczką
Franz Humann, Wien II., Aloisgasse 3 33.
Wiele listów z uznaniem. — Używane przez c. k. wojskowe magazyny prowiantowe. — Przed lichemi naśladow. ostrzega się. — Tysiące sztuk w użyciu. — Wysyłka do wszyst. części świata. — Żądajcie cennika za darmo.

Nowo otwarty MAGAZYN OBUWIA



ZDZISŁAW ZDANOWICZ

KRAKÓW, UL. SZCZEPAŃSKA L. 7 — TELEFON 516.

poleca najlepszej jakości i trwałości

obuwie dziecięce, damskie i męskie.

JACQUES FUTRELLE.

Zadziwiająca kobieta.

Tłum. z angielskiego.

8

— Dla tych samych przyczyn, co i pan — odparła natychmiast. — Chciałam przekonać się, czy osoba, która tu przychodziła dwukrotnie, po listy i po papierosy ambasadora, nie sprobuje tego jeszcze raz. Naturalnie, wiedziałam, że pana tu zastanę.

— Wiedziała pani, że tu jestem? — powtórzył Mr. Grimm.

— Tak, jak i pan wiedział przed paru minutami, że ktoś wszedł do domu.

— Trąbka automobilowa była sygnałem, nieprawdaż? Kto był szoferem — Hastings? Blair? lub Johnson?

Mr. Grimm nie odpowiedział na to pytanie.

— Czy pani nie obawiała się niebezpieczeństwa? — zapytał. — Przecież mogła pani przypuszczać, że strzelę.

— Nie.

Przez chwilę panowała cisza. Mr. Grimm siedział z łokciami, opartymi na kolanach i patrzył na niewyraźną sylwetkę twarzy młodej kobiety i jej obnażonych ramion.

— Zdaje mi się, Miss Thorne — odezwał się w końcu, że nasze drogi ciągle spotykają się i plączą ze sobą. Już dwa razy spotkaliśmy się w bardzo dziwnych okolicznościach. To spotkanie jest jeszcze dziwniejsze! W każdym razie, o ile popełniłem jakąkolwiekbądź niesprawiedliwość względem pani przez swe podejrzenia — myślę, że jest mi już przebaczone.

Miss Thorne chciała mówić, lecz zatrzymał ją ruchem ręki.

— Trzeba jeszcze wiedzieć pani — dodał — że my — to jest biuro tajnej policyi — dowiedzieliśmy się o pani rozmaitych rzeczy. Przy pomocy naszych zagranicznych ajentów szliśmy za panią krok w krok od Rzymu do Waszyngtonu. Wiemy, że jest pani jakby przedstawicielem jednego z rządów Europy. Wiemy, że była pani w jakiejś sekretnej misyi na hiszpańskim dworze i przebywała pani w Madrycie przez miesiąc. Ze w równie tajemnej, może tej samej misyi była pani trzy tygodnie w Paryżu. Stamtąd udała się pani do Londynu. Wiemy to wszystko i to, w jaki sposób przyjechała pani do Waszyngtonu Ale dlaczego jest pani tutaj, w tym domu?

Miss Thorne znowu chciała mówić, ale zatrzymał ją.

— Znamy pani nazwisko, chociaż to nie jest ważne. Wiemy, że w Hiszpanii nazywała się pani Senora Cassavant, w Paryżu Mademoiselle d'Obinon, w Londynie Miss Jane Kellog, a tutaj Miss Isabel Thorne, Rozumiemy przyczynę zmiany nazwisk i nie zwracamy na to uwagi. Jako przedstawicielka swojego rządu ma pani prawo przebywać tutaj, chociaż prawo to nie jest legalne. Może pani pozostawać tu tak długo, dopóki pani jest w zgodzie z naszemi prawami. Ma pani prawo do swoich tajemnic, dopóki one bezpośrednio lub pośrednio nie zagrażają bezpieczeństwu naszego kraju. Ale dlaczego pani jest w tym domu?

Nie otrzymał odpowiedzi — coprawda, nie oczekiwał jej. Po chwili ciągnął dalej:

— Przypuszczając, że pani jest tajnym ajentem Włoch, biorąc panią za kogokolwiekbądź, bez względu na to, za kogo pani się poda — nie przekonała mnie pani, że przyszła tu dla papierosów i listów. Nie powiedziała mi pani nic, żeby dowieść, że jest pani osobą, na którą tu czekałem.

— Przecież pan nie myśli mnie podejrzewać... — zaczęła ze zdziwieniem.

— Nie myślę pani o nic podejrzewać — przerwał jej. — Wiem tylko, że o niczem mnie pani nie przekonała. Bez względu na to, kim pani jest — nie widzę tłumaczenia, dlaczego pani przyszła tu dziś w nocy.

Miss Thorne roześmiała się.

— Przypuśćmy, Mr. Grimm — że bezpośrednio po otrzymaniu tego listu, udałam się do pańskiego biura, by prosić pana o współdziałanie — powiedziała. — Przypuśćmy, że zostawiłam swą kartę u urzędnika, który poinformował mnie, że pan wyszedł. Czyż to nie dowodziłoby, że chciałam porozumieć się i pracować razem z panem.

— Przypuśćmy — zgodził się Mr. Grimm.

— Byłoby to dowodem faktycznym — ciągnęła Miss Thorne. — Karta, którą zostawiłam w pańskiem biurze — będzie tym dowodem. Wyszedłszy z biura, udałam się do hotelu, gdzie pan mieszka, z tą samą propozycyą. Tam nie zastałam pana i zostawiłam znowu kartę, która może służyć jako dowód. Nie było trudnem — w tych okolicznościach — domyśleć się, że pan będzie tu dziś w nocy — i wobec tego przyszłam tutaj. Moim celem było podzielić się z panem memi wiadomościami i pracować razem z panem. Czy przekonałam pana?

— A jak pani weszła do ambasady?

— Nie przy pomocy klucza, jak pan to zrobił—odpowiedziała. — Madame Boissegur, na moją prośbę — zostawiła niedomknięte to wielkie weneckie okno w hali; tędy weszłam i tędy — jak przypuszczam — „wyszedł" ambasador.

— Doskonale — rzekł Mr. Grimm. — Myślę, że powinienem panią przeprosić, Miss Thorne. Okoliczności, tak teraz, jak i przy poprzednich naszych spotkaniach, były tak niezwykłe, iż to chyba jest niepotrzebne. Ciekawy jestem, czy pani tłumaczy zniknięcie pana Boissegur w taki sam sposób, jak i ja?

— A pańska teorya jest jaka? — zapytała Miss Thorne.

— O ile można wierzyć służącym — wiemy, że ambasador nie wyszedł ani drzwiami frontowemi, ani tylnemi — tłumaczył Mr. Grimm. — Wobec tego — okno weneckie pozostaje jako jedyne możliwe wyjście.

— Tak — powiedziała Miss Thorne. — Ale okoliczności, towarzyszące zniknięciu! Jak pan wytłumaczy fakt, że wówczas nie było go, iż wyszedł ze swego gabinetu z własnej woli?

— Tak samo, jak pani wytłumaczyłaby to, gdyby wystudyowała pani położenie, jak ja to uczyniłem. Naprzykład, siedząc tu, przy tem biurku. — Mr. Grimm wskazał miejsce widziałby — przez okno ulice. Tylko wąski pasek gazonu oddziela dom od chodnika. Otóż, jeżeli ktokolwiek na chodniku, albo..

— W powozie — poddała Miss Thorne.

— Albo w powozie zwrócił jego uwagę — ktoś, kogo dobrze znał, nie było niemożliwem, że wstał, bez pozornej racyi, jak to było, przeszedł przez halę...

— I przez weneckie okno, przez gazon, do powozu, tak, iż nikt go w domu nie widział wychodzącego. Tak, to się tak właśnie musiało odbyć. I naturalnie, wsiadł do powozu z własnej woli.

— Inaczej mówiąc, pod jakimkolwiek pretekstem ściągnięto go do powozu, uwięziono i...

Mr. Grimm zatrzymał się gwałtownie i ręka jego napotkała w ruchu ostrzegawczym dłoń młodej kobiety.

Cisza nocy przerwana była odgłosem szybkich kroków, zbliżających się do ambasady. Niepodobna było omylić się — ktoś biegł.

— Okno! — szepnęła Miss Thorne.

Wstała żywo, przeszła przez pokój, żeby wyjrzeć. Mr. Grimm siedział bez ruchu i przysłuchiwał się.

W chwilę później rozległ się łoskot rozbitego szkła i szybkich kroków, biegnących przez halę.

Mr. Grimm zbliżył się do drzwi, z zupełnym spokojem, panując nad sobą.

Elektryczne światło nagle zajaśniało w hali. Przed ajentem stał we drzwiach jakiś człowiek, patrząc w ciemność pokoju. Twarz jego była wzburzona i śmiertelnie blada. Usta bez kropli krwi, oczy szeroko otwarte. Ubranie w nieładzie, kołnierz oddarty i wiszący.

— Ambasador — szepnęła Miss Thorne.

ROZDZIAŁ XIV.

Ratunek i ucieczka.

Głos Miss Thorne przestraszył nieco Mr. Grimma. Nie było jednak wątpliwości, przed nimi stał pan Boissegur. Mr. Grimm podszedł do niego, wówczas ambasador bez widocznego powodu odwrócił się i zaczął biedz przez halę. W tej chwili światło zgasło. Mr. Grimm zatrzymał się, ale natychmiast zorjentował się i ruszył ku drzwiom. Miss Thorne była obok.

— Światła! — szepnął — Proszę znaleźć taster!

Usłyszał szelest sukien i wszedł do hali z wyciągniętemi rękami, macając po ścianie. W stronie, w którą się oddalił ambasador, młody człowiek usłyszał szamotanie się, tupot nóg i przyspieszony oddech. Światła! Ach, gdyby mógł znaleźć taster! Nagle, prowadząc rękę po ścianie, napotkał inną rękę, która naciskała mur, przeszkadzając mu w szukaniu. Odwrócił się i w tej chwili bójka ustała, słychać było szybkie kroki, poczem frontowe drzwi otworzyły się i zatrzasnęły z hałasem.

Mr. Grimm zgrzytnął zębami i rzucił się ku drzwiom. Lecz widocznie los prześladował go tego dnia: potknął się o jakieś krzesło i runął z impetem na ziemię, uderzając głową o ścianę. Tymczasem cisza zapanowała w domu.

Z zewnątrz słychać było turkot doróżki, po chwili wszystko ucichło.

— Miss Thorne? — zapytał spokojnie.

— Jestem tutaj — odpowiedziała szeptem. — Lecz nie mogę znaleźć guzika od światła.

— Czy nic się pani nie stało?

— Nie.

W tej chwili światło zajaśniało w hali. Mr. Grimm siedział na podłodze, zamyślony.

— To upraszcza sprawę — rzekł powoli. — Człowiek, który dawał sygnał, gdy pani nadjeżdżała, nie pozwolił dorożce odjechać, nie śledząc jej.

Miss Thorne stała, pochylona nieco naprzód i przyglądała mu się bacznie swemi niebiesko-szaremi oczyma z wyrazem admiracyi na twarzy.

— Czy pan jest tego pewny? — zapytała.

— Tak, wiem o tem.

W tej chwili na schodach ukazała się zaciekawiona twarz pana Rigolot. Brzęk tłuczonego szkła obudził go.

— Co się stało? — zapytał szybko.

— Właśnie nie wiemy — odparł Mr. Grimm. — Jeżeli hałas zbudził jeszcze kogokolwiek w domu, proszę powiedzieć, że nie wydarzyło się nic ważnego. Zaś pani Boissegur pan będzie łaskaw oznajmić, że ambasador wróci jutro do domu. Dobranoc.

Powróciwszy do domu, Mr. Grimm znalazł kartę Miss Thorne i odetchnął głęboko. W biurze znowu oddano mu jej kartę i młody człowiek odetchnął niemniej głęboko po raz drugi.

Na drugi dzień Miss Thorne towarzyszyła mu do Aleksandrii, gdzie udali się w zamkniętym powozie. Wjechawszy w zachodnią część miasta, Mr. Grimm kazał woźnicy zatrzymać się, pomógł wysiąść Miss Thorne i zwrócił się do kogoś, siedzącego jeszcze w powozie, wskazując przecznicę:

— Dom znajduje się w tej ulicy, o parę kroków dalej — Nr. 97.

W pięć minut po naszem wejściu do domu proszę podjechać tam i czekać. Jeżeli po piętnastu minutach nie wrócimy, proszę wejść za nami.

— Czy pan przypuszcza możliwość niebezpieczeństwa? — zapytała żywo Miss Thorne.

— Gdybym to przypuszczał — odparł młody człowiek — nie pozwoliłbym pani iść ze sobą.

Weszli do domu pod Nr. 97, otworzywszy drzwi kluczem, który Mr. Grimm wyjął z kieszeni i w chwilę później wchodzili do pokoju, gdzie znajdowało się trzech mężczyzn.

Jednym z nich był ambasador francuski, Boisségur.

— Witam panów — rzekł Mr. Grimm, poczem zwracając się do ambasadora — dodał:

— Monsieur Boisségur — pański powóz stoi przed domem.

Trzej mężczyźni zerwali się na równe nogi. Jeden z nich wyjął rewolwer. Mr. Grimm nie poruszył się.

— Czy pan wie, co się stanie, jeżeli pan mnie zabije? — zapytał uprzejmie. — W trzy minuty później zginiecie wszyscy. Czy myślicie, że przyszedłem tu tak na ślepo? Dwunastu ludzi otacza dom i na wystrzał zbiegną się tutaj. Proszę położyć broń.

Przez chwilę mierzyli się oczami, poczem tamten złożył ostrożnie rewolwer na stole. Mr. Grimm podszedł i wziął go do ręki, poczem spojrzał na drugiego towarzysza ambasadora.

— Pan jest tym, który wchodził do ambasady, prawdopodobnie przy pomocy klucza od zatrzasku? — rzekł pytająco. — Pierwszy raz po listy do podpisania, drugi raz po papierosy.

Nie dostał na to odpowiedzi — zwrócił się więc do pana Boisségur, który stał blady, bez ruchu.

— Tak, panie — odpowiedział nagle ambasador. Jego oczy były ciągle utkwione w Miss Thorne.

— A pańska ucieczka? — ciągnął Mr. Grimm.

— Uciekłem wczoraj w nocy, panie — odparł ambasador, — ale ci dwaj i inni jeszcze — spostrzegli to natychmiast, dogonili mnie w moim własnym domu i przyprowadzili mnie tu z powrotem. *Mon Dieu, Monsieur, c'est...*

— To wszystko, co mi potrzebne — zauważył ajent — jest pan wolny, może pan wyjść.

— Ale tam są jeszcze inni — rzekł rozpaczliwie pan Boisségur. — Pilnują na dole i nie wypuszczą mnie.

Mr. Grimm zwrócił się nagle do Miss Thorne. Była nieco bladą, ale młody człowiek wyczytał z jej twarzy coś, co go zadowolniło.

— Odprowadzę pana Boisségur do powozu — rzekł do niej. — Ci ludzie zostaną tutaj, dopóki nie wrócę. Proszę wziąć rewolwer— jeżeli napadną na panią, proszę strzelać! Czy pani się nie boi?

— Nie — odparła ze słabym uśmiechem — nie boję się.

Mr. Grimm sprowadził ambasadora ze schodów i usadowił go w powozie. Miał już wracać, gdy nagle usłyszał wystrzał. Pobiegł pędem na górę i zastał Miss Thorne bladą, opartą o ścianę — rewolwer leżał u jej nóg — drzwi były otwarte i słychać było oddalające się kroki.

— Jeden z nich napadł na mnie — tłumaczyła — więc wystrzeliłam. Uderzył mnie, lecz nic mi się nie stało.

Pochyliła się, podniosła rewolwer i uczyniła krok, jakgdyby chciała śledzić oddalające się kroki.

— To niepotrzebne — rzekł Mr. Grimm. — Gdybym mógł przypuścić, że coś podobnego się stanie, nigdybym...

— Rozumiem — przerwała Miss Thorne i przez chwilę ręka jej spoczęła na ramieniu młodego człowieka.

— Ambasador jest bezpieczny — ciągnął Mr. Grimm. — Dwaj moi ludzie są przy nim.

ROZDZIAŁ XV.

Miss Thorne — panem sytuacyi.

Gdy panie powstały, pozostawiając panów przy likierach i cygarach, Miss Thorne zatrzymała się na chwilę w drzwiach i jej szaro-niebieskie oczy spojrzały wymownie na francuskiego ambasadora, który skinął nieznacznie głową i zakończył swą rozmowę.

Gdy opuszczał pokój, zauważył, że Mr. Grimm przyłączył się do grupy automobilistów, którym przewodniczył Mr. Cadewallader.

Pan Boisségur porozmawiał przez chwilę z gospodynią, żoną ambasadora portugalskiego, poczem podszedł do Miss Thorne i usiadł obok niej. Przywitała go uśmiechem, który nie schodził z jej ust podczas całej ich rozmowy.

— Zdaje mi się, panie — mówiła po francusku — że pan dziś popołudniu wysłał depeszę do biura kablowego.

Spojrzał na nią pytająco.

— Proszę pamiętać o tem, że muszą na nas patrzeć — ostrzegła go. — Mr. Grimm jest człowiekiem, którego należy się wystrzegać. Proszę uśmiechać się i nie być tak poważnym.

Mówiąc to, roześmiała się.

— Tak, posłałem depeszę — odpowiedział ambasador.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada „okocimska".

Ułożył W. Rapacz, Bolęcin.

— Serwus Franek!... Dwa duże!
— Padam do nóg, zaraz służę.
— Cóż nowego w gazecie?
— Różne szopy na świecie:
Abdul Hamid ci chory,
Kalkulują doktory,
W haremie, *trzecia, czwarta*
I trzecia jakaś może..
..Zginęła na broń karta.
...Pojedynek na noże.
Ten tego *czwarta, druga*
Wspak!... W Tropps powiła sługa
Czworaki i dla ochłody
Rzuciła je do wody!
Tam płynie *pierwsza, druga*
Wspak, trzecia... czy też *druga*
Ale z podwójnym końcem!
— No, a cóż z włoskiem słońcem?
— Nie bardzo jasno świeci!
Wołali już poeci:
Idź! Zobacz wprzód Napoli,
A potem możesz.. „mori".
Teraz mają Tripoli!..
Turcy siedzą w *całości*
A Caneva się złości
Że dostaje po skórze!..
Kelner! Jeszcze dwa duże!

Szukanka.

Ułożył L. Feilschuss, Lwów.

Z podanych wyrazów wyjąć po dwie po sobie następujące głoski, które, czytane kolejno, podadzą nam katastrofę z ostatnich czasów.

Warszawa, prostokąt, wanilia, zręcznie, promień, Christian, Katarzyna, brauning, zbawca.

Szarada.

Ułożył M. Wojniłów.

Pierwsza, przysłówkiem będzie,
Druga w poetów rzędzie,
Trzecia z pierwszą wszystkim szkodzi.

O co chodzi?
Całość, to nazwisko
Autorki, co blizko
Wszystkim nam jest znana,
I chętnie czytana.

Bilety wizytowe.

Z liter, pomieszczonych na biletach, odgadnąć, jakich zakładów właścicielami są te osoby.

ANNA S. H. SIMIZDECKA
w Lisku

ARON I. PAPEIK
Rawa

WŁADYSŁAW KOCHORTOWOCKI

Łamigłówka.

Ułożył K. Kaim Kraków.

Podane wyrazy uzupełnić w ten sposób, aby pierwszy rząd, czytany z góry na dół, utworzył imię i nazwisko osobistości, której stratę opłakuje cała Polska.

— sran
— rion
— anca
— razm
— roka
— omot
— rpad
— isła
— olak
— oman
— pita
— abat.

Logogryf literacki.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Znaleźć szereg utworów niżej podanych pisarzy. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nam nazwisko polskiego powieściopisarza.

— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —

Autorzy: 1. Jerowski. 2. Zola. 3. Kosiakiewicz. 4. Suszczynska. 5. Rodziewiczówna. 6. Montepin. 7. Kondratowicz. 8. Rosny-Aine. 9. Bałucki. 10 Hajota. 11. Annunzio. 12. Hamsun.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Zugaj, Wilamowice.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

K. montuje stare dzieje.

Łamigłówka.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Z podanych wyrazów wyjąć dwa razy po jednej literze i utworzyć z nich nazwisko polskiego powieściopisarza i tytuł jego dzieła:

Przepowiednia, Kordyliery, Czesław, Trypolis, bekas, Boliwia, brzemię, ospa, wir, Gastonja, Skagersk, Kiliński.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *H. Rzewuskiego:* **Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego. 3 tomy.**

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.